Rok I | Warszawa 1 października 1933 r. | Nr. 1

CZŁOWIEK W POLSCE

Cena egz. 60 gr.

Prenumerata kwartalnie: w kraju zł. 3.— za granicą zł. 4.—

Ogłoszenia: za [illegible] 1 mm w tekście zł. 1.— za tekstem 60 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Grójecka 45 m.15

Telefon 9.40-17
Konto P. K. O. 9.861

Redaktor przyjmuje codz. od 5 — 7 pop.

FALA SIĘ WZNOSI

Dużo jest narzekań na czasy obecne. Ze wszystkich stron płyną głosy potępienia dla nikczemnej rzeczywistości. Czy jest ona istotnie gorsza od tego, co było dawniej?

Pozwolimy sobie wątpić.

Ukazują się w druku dane, dotyczące życia bezrobotnych, ogłasza je Instytut do spraw społecznych w szeregu wydawnictw. Fakty są — nie przesadzamy — wołające wielkim głosem o pomstę na porządek, który je znosi. Ale — przypominam sobie wydane z dziesięć lat przed wojną światową przez Semena Wityka we Lwowie wyniki ankiety o warunkach życia stróżów kamienicznych, a więc ludzi zatrudnionych stale. Ankieta przeprowadzona była niefachowo, opracowana nie metodycznie. A przecież jeżeli kto tę broszurę dziś weźmie do ręki — przekona się, że fakty w niej przytoczone pod względem jaskrawości barw bynajmniej nie ustępują temu, co dziś spostrzegamy.

Że chałupnik nie ma co jeść, że żołądek jego już nie przyjmuje pożywniejszego jadła, dowiadywaliśmy się nie ze statystyk, których wtedy nikt przecie nie przeprowadzał, ale... z takich utworów jak „Tkacze" Hauptmanna. A jeżeli chodzi o nasze stosunki — możeby warto było przypomnieć obrazki ze wsi Orkana, Konopnickiej, Gwiżdża — żeby uprzytomnić sobie, jak niedojadano na roli, jak odejmowali sobie od ust „producenci" artykułów żywności. Nie wiedziano być może o tej nędzy w szarym tłumie burżuazji i inteligencji, ale bez cyfr przezierali ją do dna ci, którzy umieli słuchać, co życie gada.

Nie — nie było lepiej, było nieraz o wiele gorzej. Było bez porównania gorzej choćby już dlatego, że obrazy nędzy przykrywano wstydliwie, że nieprawomyślności objawem było mówienie o niej, że śmierć głodowa nie obciążała nikogo żadną odpowiedzialnością, że aż poezji trzeba było, poezji takiej, jak Konopnickiej, Markowskiej, Niemojewskiego i całego zastępu innych, aby poczucie tej odpowiedzialności nareszcie zbudzić.

Było gorzej — powtarzamy, choć dalecy jesteśmy od chwalby naszych czasów.

A są one dla wielu dziwne i niezrozumiałe. Coś się w nich załamało. Wiek XIX wytworzył pewne wartości kulturalne, które rozbijały stare formy życia.

I zdawało się nam, że wszyscy pokrzywdzeni, wszyscy wydziedziczeni, wszyscy, którzy z natury rzeczy musieli być niezadowoleni z władztwa liberalnego kapitalizmu, czy kapitalistycznego liberalizmu, że wszyscy ci muszą tęsknić do ucieleśnienia tych wartości.

I na tem polegał wielki błąd postępowych intelektualistów. W istocie, te wszystkie wartości kulturalne — ta cała kultura szczytów społecznych — wszystko to było zupełnie obce masom — było tak nieskończenie dalekie od mas, że nawet ich przywódcy, w chwili, gdy doszli do władzy, nie ośmielili się urzeczywistniać nietylko nowego ustroju, o jakim marzyli, ale nie śmieli realizować najkardynalniejszych haseł etyczno - społecznych, które odważnie rozstrzygał — renesans. Nie jest przypadkiem, że rządy, w których zasiadali przedstawiciele lewicy, nie dały Polsce nawet — wolności sumienia.

Ale czyż Polskę tylko będziemy oskarżać? Czas nareszcie powiedzieć sobie otwarcie, bez owijania w bawełnę, że faszyzm przecież przy pomocy mas zagarnął władzę. Czas zajrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że Hitlera wyniosły masy, już nie część ich tylko w oddziały zorganizowane i uzbrojone — ale większość wyborców. Gdański senat dzisiejszy ma władzę od mas. A więc ta cała reakcja, na którą się skarżymy, to ciemnogrodztwo, jeżeli wolno użyć tego lichego nowotwo-

ru, w masach ma swoje oparcie — właśnie w tych masach ludowych, od których miało iść odrodzenie, nowy wiew, postęp, ucieleśnienie haseł najświetniejszych umysłów wieku ubiegłego.

Trzeba naprawdę być zaślepionym, by nie rozumieć bezdennej jałowości wszystkich tych kanonów o „zdrowych instynktach ludu", o „wyczuciu prawdy", „zrozumieniu istoty postępu", tkwiących jakoby w masach szerokich. Trzeba naprawdę być opanowanym przez nic nie mającą wspólnego z życiem frazeologję, żeby powtarzać komunały o tem, że z „nizin" społecznych wyjdzie odrodzenie.

Nie. Postęp wprowadza i realizuje mniejszość, mniejszość i jeszcze raz mniejszość. Odkrywa drogi, któremi naprzód ma kroczyć ludzkość, mniejszość — znikoma mniejszość — ta mniejszość, która swe idee, swe myśli w trudzie niesłychanym wytworzone narzuca ludzkości.

W wieku XIX mniejszość ta miała do czynienia z „klasą panującą", mniej więcej kulturalną, ucywilizowaną. Obecnie — mniejszość ta ma do czynienia z tłumem. Dawne klasy panujące dawały się czasem przekonać, że przez twórców intelektualnych przemawia głos ludu, szły im na ustępstwa z bojaźni, by nie poruszyły mas. Dzisiejsi panowie świata drwią z tych zapewnień, bo wiedzą, że pomiędzy intelektualistami a tłumem jest przepaść ogromna, przepaść, którą chwilami tylko wypełnia demagogja, a zasady tej demagogji im lepiej są znane.

I oto dlatego rola intelektualistów dziś jest o wiele trudniejsza, niż niegdyś. Oto dlaczego niejednokrotnie człowiek powojenny czuje się tak, jakby się życie cofnęło. W istocie tak nie jest — tylko musimy podciągnąć masy na wyższy poziom — a trud tego podciągania jest tem większy, że nie stoi za nami w tej chwili żaden strach, że nie mamy tym tłumom nic do obiecania, że naszą bronią jest jedynie przekonanie, a siłę możemy czerpać jedynie — z tego człowieka, którego wykształcimy.

Ale świadomość tego, świadomość konieczności podniesienia człowieka, nieodzowności wyzwolenia go z kajdan kłamstwa, bezdusznych form przeżytych reguł życiowych rośnie. Rośnie poczucie rzeczywistości, które powiada, że w człowieku, w jego psychice, w jego nałogach, bierności, ciemnocie tkwi przyczyna naszych klęsk, naszych niedomagań, przyczyna — kryzysu ekonomicznego.

Ku człowiekowi zwrot postępuje coraz bardziej i bardziej stanowczo. Nie ku jego przekonaniom takim czy innym, nie ku jego nastrojom politycznym, ale ku człowiekowi, jako istocie żyjącej i myślącej, czującej.

Ten ruch idzie i postępuje wieloma drogami. Poprzez spółdzielczość kształci się poczucie odpowiedzialności za swój własny los; poprzez harcerstwo wyrabia w młodzieży zaradność, dopełnia to, czego jeszcze szkoła nie nauczyła dawać. Idzie on poprzez nowe kierunki opieki społecznej, która nie zadawalnia się masowem łataniem luk, ale sięga do indywiduum ludzkiego, sięga do każdej rodziny i bada jej potrzeby i usiłuje pokonać czynniki bezwładu i nieradności.

Ku człowiekowi zwraca się ogromna w ostatnich czasach literatura publicystyczna, jaką widzimy w szeregu organów takich, jak Wiadomości Literackie, Epoka, Kurjer Poranny, że nie wymienimy innych—ze szpalt których dzień po dniu odzywają się głosy, żądające reformy obyczajów, otwartego, śmiałego patrzenia w prawdę objawów życia, demaskujące obłudę.

I nic dziwnego, że organy te, rozniecające wyższe aspiracje, budzące samodzielność myśli, spotykają się z potępieniem nietylko ze strony wstecznictwa, ale tak samo na skrajnej lewicy. Tak być musi — bo i tam są przedstawiciele — większości, przedstawiciele masy— wszystko jedno z Ochoty, czy z Woli, czy z Alei Ujazdowskiej, wszystko jedno, czy jedzącej srebrem, czy palcami — wszystko jedno, chodzącej boso, czy w zamszowem obuwiu. Masa jest jednakowo ciemna zarówno w pałacach, jak i pod schodami.

Oto krótkie wyjaśnienie dla Boya i tych, którzy jego odważne a pełne godności i poczucia prawdy wystąpienia powitali z entuzjazmem, którzy się zwarli koło jego haseł i usiłują je pogłębić. Oto odpowiedź na zdziwienie p. Krahelskiej, p. Krzywickiej, których świetne artykuły spotykają się na każdym kroku z inwektywami i szyderstwem ze strony tych, którzy winni byli właściwie iść im całą siłą z sukursem. Sukurs ten nie przyjdzie do nas od tych, co żerują na masie, którzy schlebiają masie — którzy najwięcej się boją — ostracyzmu ciemnoty.

„W ojczyźnie było laurowo i ciemno" — mówił Norwid. „Laurowo i ciemno" było i jest obecnie jeszcze — gdyż wszystkie siły nasze idą na zbudowanie zasad życia politycznego, na utrwalenie wartości krwią zdobytych, na wzmocnienie ram, które nam wszyscy zniszczyć usiłują. Ale, oto poczucie trwałości naszej budowy przeniknęło jednak społeczność. I powstaje gromada śmiałków, aby ciemności rozpędzić. Zbudziła się elita myśli — zbudzili się bojownicy postępu i ruszyli w szranki.

Mówią poprostu, bez owijania w bawełnę, bez chytrych obmierzłych wywijasów, mających przysłonić to, co jakaś wielkość za niepożądane uważa. Odsłaniają puszcze naszego życia. Puszcze, przez które człowiek nie w chwili wyborów, ale codzień brnąć musi. Odsłaniają zakłamanie, teror przesądu i zgniłych tradycyj, teror nieprawdy. Nie polityczna to walka — ale społeczna — ale przedewszystkie etyczna. Walka to o moralne wartości człowieka w Polsce, o jego charakter, o jego wolną wolę.

Wyrąbać trzeba chodniki. Dla kogo?

Dla tych, co iść naprzód pragną.

Jest ich niewielu. Jeszcze niewielu. Tylko że nasze warunki są tego rodzaju, że może być ich coraz więcej.

W TWARDEJ SŁUŻBIE

Służba ratunkowa nie jest u nas czemś nowem. Od chwili rozpoczęcia działań wojennych w roku 1914 czyli od 19 lat stoimy ciągle wobec konieczności żywienia stosunkowo dużej części ludności. Nazywa się to dożywianiem, jakoby chodziło jedynie o polepszenie warunków. W istocie — ten obiad w kuchniach dla inteligencji, te „zupy" w kuchniach dla pracowników fizycznych — to zasadnicza część odżywienia ludności bezrobotnej.

Służba ta przechodziła różne koleje. Początkowo zdawało się, że jest czemś chwilowem, że ciężkie czasy przeminą i każdy wróci do swojego zarobku. Złudzenia prysły. W czasie nawet pomyślnej konjunktury gospodarczej przerwanie jej kosztowałoby życie wielu tysięcy ludzi. Kryzys powiększał ilość nie mających co do ust włożyć. Akcja musiała pozostać na stałe. Wyszła ona w znacznej mierze z rąk filantropów poświęcających czas zbywający, wolny od zajęć — stało się specjalnością. Dziś nawet nieliczni pracownicy niehonorowani za swą robotę muszą poświęcać jej cały dzień — i wiele nocy. To specjalność — to fach i fach, powiedzmy odrazu — ciężki.

Wydać blisko sześć miljonów obiadów w ciągu roku sprawozdawczego, czyli karmić 10 — 30 i wyżej tysięcy dziennie, zarządzić odpowiednie dostawy, przeróbkę, kontrolę rozdawnictwa — to nie jest rzeczą łatwą ani prostą. Komitet Obywatelski długo musiał zbierać doświadczenia, długo uczyć się, zanim doszedł do techniki dzisiejszej, która mu pozwoliła przy podniesieniu jakości żywienia obniżyć jej koszta w ciągu roku o blisko 20% i dać obiad o 30% taniej niż jakakolwiek inna instytucja w stolicy. Jeżeli zważymy, że koszty ogólne Komitetu wynosiły 3,46% — to będziemy mieli odpowiedź na wszelkie możliwe zarzuty przeciw płatności pracy społecznej. Ta praca fachowa, płatna, praca głęboko ideowa zaoszczędziła komitetowi pieniędzy publicznych znacznie więcej, niż sama kosztowała.

Sprawozdanie Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej jest naprawdę dokumentem imponującym. Suche cyfry wykazują ogromny wysiłek organizacyjny — wysiłek wszechstronny i szlachetny. Komitet przeszło miljon złotych na swą akcję zebrał bezpośrednio ze składek, ofiar, nalepek, przedsiębiorstw, z opłat za świadczenia — czyli własną inicjatywą i pracą, bądź mobilizując siły społeczne — bądź wyręczając instytucje samorządowe i państwowe i obniżając w ten sposób ich wydatki.

W dochodach subwencje sięgają sumy 1459 tysięcy złotych, z czego 383 tys. otrzymano w naturze. Są to wpływy z funduszów państwowych na bezrobocie. Nie jest to więc subwencja w ścisłem tego słowa znaczeniu — ale ciężkie ofiarne pośredniczenie w użyciu jaknajbardziej celowem funduszów państwowych na zwalczanie skutków bezrobocia. Komitet przytem dawał bez porównania więcej niż dostawał. Otrzymując środki żywności dla rozdawnictwa, ponosił wszystkie tego rozdawnictwa koszty, a z chwilą umniejszenia wpłat na żywienie, przecież żywienia nie przerwał i prowadził je własnym sumptem. To też z dużą goryczą podnosi wstęp do sprawozdania, że: „pomoc doraźna musi być uzupełniona przez planową akcję wychowawczą, uświadamiającą i kulturalną. Pomoc materjalna bez tego uzupełnienia traci wagę racjonalnej pracy społecznej — jednak bardzo niedostateczne środki pozwalają nam prowadzić akcję, postulatom naszym odpowiadającą, jedynie na niewielkim odcinku, objętym Sekcją Pomocy Matce i Dziecku". A cyfry wykazują, że procentowo ten odcinek maleje. Na obiady dla dzieci w latach poprzednich wydawano 65,7 tys., 76,9 tys. — w roku sprawozdawczym — 57,4 tys. W procentach wynosi to 9,25%, 4,4%, 2,9%... W ciągu ostatnich trzech lat ogólny koszt Sekcji pomocy Matce i Dziecku spadł z 12,3 na 11,2%.

Sprawozdanie komplementuje wszystkie instytucje, z któremi wypadło Komitetowi współpracować. Te słowa uznania nie zawsze jednak trafiają do przekonania czytelnika. Raczej przychodzi się do przekonania, że pomoc udzielana Komitetowi — nie jest dostateczna. Nie jest dostateczna ofiarność publiczna, która zupełnie niepotrzebnie rozsiewa się pomiędzy różne drobniejsze instytucje, zamiast zwartą ławą zogniskować na największej akcji w stolicy. Nie jest ani dostateczna, ani regularna współpraca Samorządu. Nie jest dostateczna i pomoc rządowa i nietylko niedostateczna, ale — i niezupełnie skupiona, co nie wpływa dodatnio na całość.

W tym kierunku powinna iść reforma — i to poważna.

Potrzebna jest reforma i jeszcze pod jednym względem. W sprawozdaniu ustęp jeden mówi poprostu — frekwencja w naszych kuchniach jest niejednolita — bo w czasie mrozów ludność nie posiadająca jakiego takiego przyodziewku, nie może przychodzić po obiady. A niejednokrotnie takiego przyodziewku niema ani jedna osoba w rodzinie. Nad tym problemem trzeba się zastanowić. Pomoc żywnościowa musi być wsparta przez szerszą działalność. Prawda, istnieje sekcja odzieżowa — ale mogła ona wydatkować zaledwie 49,8 tys. w roku sprawozdawczym na odzież i obuwie — razem. To jest kropla w oceanie potrzeb.

Pozwolimy sobie zwrócić uwagę na pracę kulturalną. W trzech punktach utworzono bibljoteki. Zgromadzono do nich „aż" 1.072 książek! Te książki w sezonie, to jest w ciągu jesieni i zimy do kwietnia były wypożyczone przeszło 12 tysięcy razy!

I nasuwa się tu pewna refleksja. Ofiarność na rzecz tych czytelni powinna wzrosnąć nie tylko ze strony osób prywatnych. Jest ona wskazana i ze strony samych wydawców. Książka przez wypożyczalnie Komitetu dociera najczęściej do środowisk, w których potrzeba jej dotąd nie istniała. To teren dziewiczy. Człowiek w czasie bezrobocia może się przyzwyczaić do niej — może się stać w przyszłości spożywcą książki, bądź jako nabywca, bądź jako abonent w jakiejś wypożyczalni.

Byłoby więc ze wszechmiar słuszną rzeczą — dostarczyć do tych czytelń możliwie wielką ilość wydawnictw. Odbije się to bardzo poważnie na pokupie książki natychmiast po przeminięciu ostrych objawów kryzysu — wyrobi jej debit tam, gdzie jeszcze jego nie miała.

Tych kilka słów nie wyczerpuje zagadnień poruszonych w sprawozdaniu, które jest naprawdę kopalnią rzeczy istotnie ciekawych. To też będziemy musieli jeszcze nieraz do niego powrócić, aby wszechstronnie rozpatrzyć pracę instytucji o znaczeniu państwowem, instytucji, której doświadczenia winny być własnością całego kraju.

St. Kulisz.

Zdarzenia i uwagi

25 LAT.

Dwadzieścia pięć lat minęło od założenia Związku Walki Czynnej, owej konspiracyjnej organizacji, z której wyłonił się potem „Strzelec" już jako zrzeszenie pół-jawne, działające nieomal masowo.

Sekcje owe po nocach maszerujących kędyś za miastem studentów, nieco młodzieży rzemieślniczej— wszystko to w marynarkach, pelerynach, kapeluszach twardych czy miękich — wszystko tak niepodobne do dzisiejszych szeregów żołnierskich, które defiladami, prezentowaniem broni, pochylaniem sztandaru, oddają cześć — inicjatorom. Oddają cześć ich wytrwaniu, ich sercu, ich ukochaniu.

Oddają cześć i jeszcze czemuś.

Związek Walki Czynnej miał poprzedników. Nieprzejednani, Mierosławczycy, Mściciele — i wiele innych organizacyj już na parę lat przed nim poczynały tworzyć wojskowy spisek niepodległościowy. Tamto były próby, w których radzono, zastanawiano się, uchwalano. Członkowie ZWC umieli zrzec się tego wszystkiego. Uznawszy się za wojsko — karnie wytrwali w szeregach aż do wyruszenia w pole. I w polu również wytrwali — zawsze posłuszni rozkazom Tego, kogo za Wodza uznali. Przełamanie siebie, złożenie własnych pomysłów i swobody na ołtarzu walki o wolność tylko pod moralnym przymusem było tem wielkiem zwycięstwem nad sobą, które Związkowi dało zwyciężyć nad wrogami Ojczyzny.

Dwadzieścia pięć lat minęło od tych wieczornych ćwiczeń cywilów.

Zmienili się oni. Ale zmieniła się i rzeczywistość polska. A różnica pomiędzy tem co było a tem co jest — bije w oczy: pelerynkowy zastęp młodzieży i świetna zwycięska armja.

UKŁADY GDAŃSKIE.

Jak wiadomo, w swoim czasie, aby przełamać monopolistyczne stanowisko Gdańska wobec Polski, poczęliśmy popierać Elbląg, w którym usadowiła się kompanja angielska. Gdy jednak gdańszczanie się ukorzyli, uczyniliśmy wszystko, żeby ta konkurencja znikła. Jest to ostrzeżenie dla obecnej polityki polskiej. Gdańsk zapewne, poczynił pewne ustępstwa w dziedzinie szkolnictwa i wzamian za to ma dostać — kontyngenty przeładunku, i to nie w postaci odsetek, lecz w postaci określonej ilości tonn. Zmniejszanie się ogólnego przeładunku zatem może się odbijać tylko na Gdyni. Gdańsk posiada kwotę.

Wykonalność tego zobowiązania byłaby możliwa jedynie w warunkach monopolu handlu zagranicznego, gdyż obecnie trudno sobie uprzytomnić, przy pomocy jakich środków można zmusić kogoś, by kierował swój towar na Gdańsk, nie na Gdynię, jeżeli ta ostatnia jest tańsza i wygodniejsza. Trudno wystawić sobie sztuczne podnoszenie opłat portowych w Gdyni po uzyskaniu pewnej normy przez jej port, albo przed uzyskaniem przez Gdańsk.

Powstanie zatem szereg trudności, jakie wykonanie jej nastręczy — trudności, prowadzących do sporów, nieporozumień, procesów. Poza tem warto pomyśleć, czy przez takie postawienie sprawy Gdynia nie schodzi do roli regulatora naszych z Gdańskiem stosunków, i czy nie traci na swej samodzielności. Trzeba dobrze się namyśleć nad wprowadzeniem tego rodzaju zasad w życie, aby nieporozumienia, jakie się mogą przy jej wykonaniu nastręczyć, nie zburzyły tak mozolnie wznoszonego gmachu ugody.

STOSUNKI Z ROSJĄ SOWIECKĄ.

W tej chwili nasze stosunki z Z. S. R. R. są nietylko poprawne, ale coraz bardziej serdeczne. Udział uczonych sowieckich w zjazdach naukowych w Polsce był poważny, a przyjęcie, jakie im zgotowano — serdeczne. Wizyta p. Radka dała sposobność do wymiany szeregu grzeczności — nietylko osobistych. Przyjęcie, zgotowane naszym lotnikom w Moskwie, lotnikom sowieckim w Polsce — a wreszcie daleko posunięta serdeczność, jaką otaczano płk. Filipowicza, oraz honory, oddane ś. p. kpt. Lewoniewskiemu — wszystko to jest bardzo znamienne. Stosunków tych bynajmniej nie psują aresztowania komunistów u nas, ani dalsza wytężona akcja policji ku ich zwalczaniu. Porozumiały się ze sobą państwa na gruncie niewtrącania się w sprawy wewnętrzne.

W tem wszystkiem widzimy objaw dodatni — gdyż ułatwia on nam bardzo poważnie zaznajomienie się ze stosunkami rosyjskiemi, poznanie tego ogromnego przewrotu, jaki tam zaszedł, i skutków planowej pracy ku rekonstrukcji życia w myśl pewnych wskazań. Eksperyment rosyjski jest zbyt wielki, by można było przejść nad nim do porządku dziennego. Sytuacja świata, jego ustrój dzisiejszy zbyt bliski bankructwa, aby nie szukać dróg ku przebudowie. Ale dlatego trzeba przedewszystkiem znać to, co się robi gdzieindziej.

PROCES SAMBORSKI.

Proces przeciwko mordercom ś. p. posła Hołówki ma przebieg tragiczny. Organizacja, która targnęła się na życie jednego z najszlachetniejszych, najbardziej ideowych polityków polskich, robi wrażenie czegoś niesamowitego. Z jednej strony widzimy jej bliski kontakt z jakiemiś centralnemi władzami, z przedstawicielami społeczeństwa ukraińskiego — z drugiej wszystko to wygląda, jako wysepka, której ideologja, metody pracy, sposób postępowania kształtowały się zupełnie anarchicznie. Grupka ludzi czynniejszych postanowiła „walczyć za ojczyznę" i czyniła to na własną rękę. W aktach sabotażu można się dopatrywać pewnego systemu(który z natury rzeczy prowadzi do „pacyfikacji" i do niczego innego doprowadzić nie może). Ale zabójstwo Hołówki — to jakiś tragiczny nonsens, zrodzony w głowach zwyrodniałego filozofowania na temat „im gorzej — tem lepiej". Że mamy do czynienia z degeneracją organizacji i ideologji, świadczy szereg innych faktów, a przedewszystkiem bliski, zabliski kontakt z policją. Motyka, sypiący swych towarzyszy, Hnatow, o którym mówi się, że był konfidentem, Branowski, którego cała obrona polega na usługach, jakie miał oddawać policji — to wszystko jest tak strasznie zagmatwane, że zupełnie chwilami nie wiemy, czy taki Branowski grał rolę konfidenta, by prowadzić akcję bojową, czy prowadził akcję bojową, by być konfidentem.

To pewna — że władze nasze śledcze, ani władze bezpieczeństwa nie stanęły w całej tej sprawie na wysokości zadania. Ale pewne jest również, że proces taki, jak samborski, rujnuje wszelkie poważanie dla tego rodzaju organizacji, jak U. O. W., i skłania do poszukiwania wyjaśnień jej akcji na gruncie — psychozy. To mieszanina awanturnictw, blagi, zdrady i ciemnoty. To coś, co musi wygasnąć — a lęgnąć się może tylko w warunkach niezmiernie niezdrowych. Tylko, że myśmy się do stworzenia tych warunków walnie przyczynili.

PRZECIW PARLAMENTARYZMOWI.

Ostre i stanowcze wystąpienie p. Dmowskiego na łamach urzędowego organu Narodowej Demokracji przeciwko parlamentaryzmowi jest zupełnie niespodzianą dywersją w łonie opozycji, jest ciosem zadanym jej w plecy — ciosem zupełnie niespodziewanym

i nieobliczalnym w skutkach. Od tej chwili zasadnicza strona opozycji prawicowej już upadła. Został z niej tylko antysemityzm w jego najbardziej skrajnych, najbardziej drastycznych objawach, który wszakże uważać musimy za chwyt agitacyjny raczej niż za element składowy ideologji. Pozostaje chyba już tylko jedno: dlaczego wy, a nie my. Pozostaje tęsknota do władzy ze strony pewnej grupy ludzi.

Tęsknota ta wzbiera. Z wielu stron słyszymy zapewnienia, że zima bieżąca ma doprowadzić do szeregu ostrzejszych wystąpień naszej prawicy nacjonalistycznej, że nawet tu i ówdzie przebąkuje się o „wystąpieniach czynnych".

Rewelacje p. Dmowskiego zdają się potwierdzać te głuche pogłosy. Rzecz jasna, że kto nie walczy o parlamentaryzm — walczy o dyktaturę dla siebie — dyktatury inaczej jak gwałtem się nie zdobywa. Ale też rewelacje p. Dmowskiego mogą w szeregi tych, co wierzyli dotąd we wszystko, co pisała „Gazeta Warazawska" poważnie rozchwiać. Zwłaszcza dotyczy to szerszego ogółu niewtajemniczonego we wszystkie arkana i nieliczącego na zdobycie kierowniczych stanowisk.

BLOK EUROPY ŚRODKOWEJ.

Zjazdy naukowe słowiańskie, podróże parlamentarzystów do Jugosławji i Bułgarji, rocznice Sobieskiego i Batorego, obchodzone w Krakowie, w Wiedniu i Budapeszcie — oto są etapy polityki środkowo-europejskiej, której daje się wyraz narazie jedynie w poczynaniach o charakterze społecznym, którym dyplomacja skąpo i bardzo dyskretnie czas i miejsce poświęca. Jedynie wzmianka, że w Paryżu, podczas narad min. Becka z panami Paul Boncour'em i Daladier'em zwrócono uwagę na gospodarczą organizację tego obszaru, mówi, że przecie kwestja ta żyje. To „zwrócenie uwagi" przecież aż w Paryżu musi być z natury rzeczy bardzo dalekie od realizacji — bodaj pod względem geograficznym. W tej chwili w Europie centralnej mamy do czynienia z wyścigiem dwuch sprzymierzeńców dyplomatycznych, dwuch faszystowskich potencyj — Niemiec i Italji. I jedna i druga opierają nadzieje przedewszystkiem na węgiersko-niemieckich resztkach monarchji habsburskiej, które mają wbić klin obcego imperjalizmu pomiędzy północ a południe.

Mamy wrażenie, że wyścig ten nie doprowadzi do niczego. W obu bowiem zawodnikach tkwi zawiele imperjalizmu, zawiele ekskluzywności, by stać ich było na organizację życia międzynarodowego. Hitler już załamać zdołał niemieckie wpływy w Austrji, już zadrażnił nawet spokojnych Szwajcarów — Mussolini, zanim uzyska zaufanie Austrji, musiałby zmienić swój stosunek do południowego Tyrolu. To są poręki natury negatywnej, że wszystkie dotąd prowadzone wysiłki ku podporządkowaniu Europy środkowej polityce wielkich mocarstw rozbić się muszą. I oto nadchodzi czas nowy — czas inicjatywy polskiej, łączenia się wolnych z wolnymi. To doirzewa w społeczeństwach narazie.

Jakoż Mała Ententa odpowiada na to wszystko bardzo ożywioną czynnością, łącząc się coraz ściślej. Zjednoczenie jej reprezentacji zagranicznej na konferencjach było już samo przez się ogromnym krokiem naprzód. W tej chwili jest mowa o współpracy sztabów generalnych. Nic dziwnego, że do owego ośrodka już ciążą i inne narody — Bułgarja, Turcja, Grecja.

W tym zespole Polska jest niezbędna. Ale, jeżeli się spóźnimy, kto wie, czy za dwa, trzy lata nie będziemy musieli antyszambrować w jeszcze jednej stolicy.

PARALIŻ.

Zarówno posiedzenia Rady, jak i Zgromadzenia Ligi Narodów wypadły więcej niż niepokojąco. Przeniesienie obrad nad najdonioślejszemi sprawami, dotyczącemi ludzkości na szereg innych konferencyj (gospodarcza, rozbrojeniowa), pakt czterech — odbiły się na tej instytucji fatalnie. Sprawy mniejszościowe wyczerpała humorystyczna skarga jakiegoś Ślązaka na to, że z szosy na jego podwórze ścieka woda i tworzy kałuże. Rada nie mogła wyznaczyć Wysokiego Komisarza do Gdańska i spasowała. Pierwsze przemówienie urzędującego prezesa Rady, duńczyka p. Mohwinkela zdumiewało czołobitnością względem mocarstw, złączonych paktem 4-ch i wszystkie nadzieje rozwiązania trudności piętrzących się przed światem spychało na nie. Zgromadzenie, obesłane zresztą bardzo licznie, stało się tem, czem była gospodarcza konferencja w Londynie, miejscem poufnych rokowań i zakulisowych narad — pretekstem do pogadanek.

Rzecz jasna, że w polskim interesie tego rodzaju degradacja tej instytucji międzynarodowej bynajmniej nie leży. Zmienić tę sytuację jednak możemy nie inaczej, jak w najciaśniejszem porozumieniu z szeregiem innych państw.

CIEKAWE OBJAWY.

W działalności państwa hitlerowskiego spostrzegamy czasem bardzo ciekawe objawy. Obok niesłychanie agresywnego stanowiska względem Austrji, a nawet względem Szwajcarji daje się zaobserwować na innych odcinkach zdolność do daleko idącej ugodowości. Panowanie swoje w Gdańsku zainaugurowali Hitlerowcy nawiązaniem rokowań z Polską, które poważnie posunęły się naprzód i doprowadziły do ustępstw, jakich nie mogliśmy uzyskać od poprzednich senatów. Są próby zbliżenia się i bezpośrednio do Polski w rodzaju ostentacyjnie świadczonych grzeczności naszym przedstawicielom w Genewie. Niesłychanie wojowniczym hasłom o zdobyciu terenów, niezbędnych dla narodu niemieckiego towarzyszy miękkość niespotykana nawet u socjaldemokratów.

Mimowoli przychodzi myśl o realizowaniu przez hitlerowców na pewnych odcinkach programu swych przeciwników.

Wytłumaczenie zjawiska jest proste. Rząd, który nie potrzebuje się obawiać demagogji przeciwników może realizować to, co uważa za jedynie możliwie, jest bardziej zdolny do ustępstw wobec wymogów rzeczywistości niż jakikolwiek inny.

OPORNA ZMIANA.

Opinja publiczna Anglji — jak zapewniają wszystkie informacje stamtąd, po przewrocie hitlerowskim uległa całkowitej zmianie. Pobrzękiwanie orężem, nieustanne zapowiedzi zbrojeń lotniczych, agresywne stanowisko względem Austrji, prześladowanie żydów i t. d., wszystko to zmusiło mieszkańców mglistego Albjonu do zrewidowania antipolskich poglądów, do przestudjowania lepszego sytuacji środkowej Europy do — orjentacji innej. Opinja publiczna oddziałała na ministerstwo spraw zagranicznych w kierunku utworzenia specjalnego wydziału polsko-niemieckiego. Wydział ten organizuje się, a może nawet już się zorganizował.

Ale — polityka Anglji bynajmniej głębszym zmianom nie uległa. Polityka ta jak dawniej tak i dziś polega na tem, by utrzymać pokój cudzym kosztem. Czyim? To sprawa zupełnie obojętna. Najkardynalniejszą zasadą Anglji — jest nie angażować się i McDonald, który raz już dostał ciężkie cięgi za angażowanie się przez protokuł genewski, zasady tej pilnuje usilniej niż czegokolwiek innego.

Liczyć na inne stanowisko Anglji — to czyste złudzenie.

ZASŁUGA ETATYZMU.

„Etatyzm" polski ma wielką zasługę przed światem — oto w Polsce fabrykacja broni bojowej należy do Państwa i dlatego niema tu zainteresowanego w awanturach wojennych kapitału. Dlatego Polska może być w sprawach rozbrojenia szczerą. Inaczej jest w państwach, objętych paktem czterech, których kapitał wojenny ściśle pilnuje, by „stypulacje" rozbrojeniowe nie uszczupliły jego dochodów. Pierwszy postulat rozbrojenia — to zniesienie prywatnej fabrykacji broni.

Przewrót się dokonał

Przewrót się dokonał. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski i wysnuć kierunek niezbędnych reform. Ten przewrót zamanifestowała nam pożyczka narodowa.

Stosunek nasz do niej jest jasny. Pożyczka jest koniecznością nieodzowną. Wynika stąd prosty obowiązek dla każdego obywatela — jasny i zrozumiały.

Ale oto przebieg zgłoszeń nasunąć nam musi uwagi — o zupełnie poważnej doniosłości. — Udział w niej poszczególnych warstw społeczeństwa jest naprawdę uderzający. Według obliczeń niezupełnie kompletnych, subskrypcja wyniosła około 240 miljonów, a więc dwukrotnie przekroczyła sumę żądaną przez Państwo i kwota ta zostaje podzielona mniejwięcej w następujący sposób: wojsko, urzędnicy państwowi, pracownicy prywatni i wolne zawody — około 130 miljonów, przemysł ok. 60 milj., handel 40 miljonów, rolnictwo 10 miljonów. Takie są obliczenia znawców.

A więc z największą pomocą państwu pośpieszy praca. Praca — nie kapitał.

Nie wpadamy w entuzjazm z tego powodu i nie będziemy przeceniali faktu i wysnuwali daleko idących wniosków o heroizmie naszej inteligencji. Patrzymy na rzeczy trzeźwo i spokojnie. Wiemy dobrze, że fakt ten nietrudno wyjaśnić z najzupełniej zasadniczego stanowiska. Dochody pracowników najemnych, żyjących z pensji, są w całości płynne, dadzą się więc łatwo uchwycić i — aresztować. Pracownicy stanowią rzeszę mniej więcej jednolitą, wśród której zupełnie możliwy jest przymus moralny bardzo daleko posunięty, przymus bezwzględnie skuteczny. W tem miejscu stwierdzamy, że tylko cieszyć się należy z tego, iż autorytet państwa jest tak poważny, że ten przymus może być skuteczny. Ale im bardziej będziemy odbierać faktowi cechy swobodnej decyzji i własnowolności, im bardziej będziemy pomniejszać „zasługę" inteligencji, tem bardziej ugruntować musimy przekonanie, że nie tylko dziś, ale i zawsze i we wszystkich innych wypadkach podobnych Państwo może się odwołać przedewszystkiem do świata pracy. Wynika to z konstrukcji naszego społeczeństwa, z konstrukcji nietylko moralnej, ale społecznej i gospodarczej.

Przewrót nastąpił. Ani przemysł, ani rolnictwo nie stanowią podwalin, na których może się oprzeć organizacja państwowa, nie stanowią fundamentu życia zbiorowego. W tej chwili to są agendy gospodarcze, które utrzymywać musi państwo przy pomocy kredytów, ulg, obwarowań celnych, udogodnień komunikacyjnych, monopolów, zamówień i t. d. — są to agendy życia społecznego, w wielu wypadkach deficytowe, w ogromnej ilości wypadków służące sprawie dystrybucji dochodu narodowego, powiedzmy odrazu, z wielką krzywdą dla świata pracy.

Oto fakty, z których należy wyciągnąć wnioski, dotyczące ustroju zarówno społecznego, jak i politycznego. Przeglądają przez nie jasno, wyraźnie przyczyny kryzysu strukturalnego naszego społeczeństwa. Gospodarka bezplanowa, gospodarka chaotyczna dotąd tworzyła organizację potężną, na której mogła się oprzeć finansowa przynajmniej strona budowy Państwa — gospodarka ta obecnie już takich podstaw nie tworzy. Czas ją zastąpić przez coś nowego. Jutro Rzeczypospolitej jest inne niż dziś.

MAGISTRA VITAE

Z pewnej odległości kontury przedmiotów zlewają się w jedną całość. Widzimy już nie domy, nie gmachy, ale linję ogólną miasta, jako całości, lasu, jako całości, łańcucha górskiego. I już nie wiemy, jakie są tam budynki, jakie drzewa, jakie góry, wzgórza, skały, doliny — pozostaje sam kontur, w którym pochwycone są zupełnie przypadkowo części indywiduów zasłaniających się wzajemnie lub odsłaniających przedmiotów, zupełnie niezależnie od tego, czem są same przez się i co najlepiej mówi o ich robocie. Fotograf obrał punkt, z którego całość najlepiej się układa i oto mamy popularny zarys Lwowa, Krakowa, Warszawy, Wilna, czy Tatr lub Białowieskiej Puszczy. I oto mamy syntezę zarysów miast i krajobrazów. Tylko że te „syntezy" nie dają nam najmniejszego pojęcia o cudach Ciemnych Smreczyn, ani o grozie Miedzianej Ławki, ani plantach — ni o łazienkowskim pałacu. Cóż stąd, że na rycinie, czy fotografji, na malowidle czy akwaforcie rozróżniamy to, co nazywamy miastem, łańcuchem gór, czy puszczą, kiedy to wszystko stanowi jedynie płaszcz okrywający niesłychaną różnorodność? Zbiorowość ma wartość jedynie jako pojęcie, kiedy chwyta i ujmuje w całość istotę rzeczy składników, ale złudzeniem było by z naszej strony utrzymywać, że każde ujęcie zbiorowości daje pojęcie o indywiduach.

Skłonni jesteśmy chwytać i te ogólne linje dziejów, tworzyć sobie ogólne zarysy zdarzeń, ale czy odsłaniają nam one człowieka? Nie! — Człowiek pozostaje tajemnicą — jest czemś, do czegośmy nie dotarli, czemś, co się skryło w „ogólnym zarysie", tak, jak się skrywa Kiezmarski staw gdy oglądamy Tatr Panoramę.

I dlatego historja, historja, gadająca nam o bitwie pod Legnicą, o ludów wędrówce, o pracy kolonizacyjnej Anglji — historja, dająca wyniki miljonów śmierci, radości, wysiłków — przysłaniająca idee nierealizowane, myśli nie upowszechnione, ta historja nie jest mistrzynią życia, bo ginie w niej człowiek, bo po przewertowaniu wszystkich Schlosserów czy Zakrzewskich nie wiemy nic o tem, jak żyła jednostka, jak czuła, jak reagowała na takie czy inne zjawiska.

Jeżeli nieraz w społecznikach - reformatorach, życie oddających za ludzkość widzimy tyle fanatyzmu jeżeli pośród bojowników idei spotykamy takich Robespierrów, czy innych Dzierżyńskich, to w znacznej mierze dzieje się to dla tego, że sugestja „ogólnej linji", sugestja pseudo-syntezy każe zapomnieć o tem, z czego ta synteza powstała. I dlatego tak niesłychanie cenną jest rzeczą, tak niewymownie doniosłą — poszukiwanie człowieka, wyróżnienie go z pośród nawału „linij" i „zdarzeń" z pośród tego wszystkiego, w co by się go chciało uogólnić, „standaryzować". „znormalizować".

Marja Dąbrowska patrzy na ludzi i patrzy w ludzi. Mkną przed jej oczyma zdarzenia, zdarzenia niepośledniej miary. We wspomnieniach ukazuje się Powstanie roku 1863-go, kładąc piętno na całem pokoleniu, potem wzbiera fala rewolucyjna lat 1904 — 1906. Artystka widzi to wszystko i — docenia, i rozumie i odczuwa — ale narysy nie zasłaniają jej widoku samych ludzi. Naliczyłem u niej w pierwszych trzech tomach powieści „Noce i dnie" 162 jednostek, z których setka przeszło występuje zupełnie plastycznie, wchodzi do samej akcji, żyje, działa, wywiera

wpływ na przeżycia czołowych bohaterów. To cały legjon — ale nie masa, i jej cząstki, tylko indywidua samodzielnie ustosunkowujące się do każdego faktu na własną rękę, czujące za siebie i żyjące dla siebie. I, jeżeli chodzi o problemat ogólny całości utworu, tak jak ją dziś, po ukazaniu się już trzech pierwszych tomów widzimy, to właśnie występuje przed nami najmocniej pytanie żrące, pytanie powstające prawie z działających osobistości, zajmujące zarówno społeczników, jak i tych, co żyją w ciasnem kółku rodzinnem — zagadnienie, streszczające się w pytaniu: „ludzie, czy zdarzenia?" Ludzie lub zdarzenią są jedynie godni uwagi, są tem, na co patrzeć człowiek powinien, co go jedynie może obchodzić, co musi zająć każdą jego chwilę?

Na razie tylko dwoje z bohaterów opowiedziało się za „zdarzeniami". Marja Hłasko — to człowiek odepchnięty od osobistego życia i Marcin Śniadowski, sza odczuwając tragizm faktu pociesza tem, że posiada świadomość, że jest wyłącznie — drugi usiłuje żyć według teorji, według „zasady", od samego początku trafia na zawody półuświadomione i te zawody spychają go powoli, tak jak spychały kiedyś słynnego w literaturze rosyjskiej Rudina, niezapomniany typ człowieka, poszukującego wszystkiego w uogólnieniu słownem i dla tego pozbawionego możności kontroli siebie samego na płaszczyźnie rzeczywistości i w rezultacie spadającego poniżej własnej rzeczywistości. Turgieniew kazał swemu bohaterowi umrzeć zdala od ojczyzny, na barykarach paryskiej komuny. Śniadowski, nieodrodny brat Judyma zapatrzony kędyś w ideał walki, gotów jest odrzucić życie osobiste, tylko że Dąbrowska lepiej niż Żeromski w chwili pisania „Ludzi Bezdomnych" rozumie, że odrzuca on coś — właściwie — ze względu na to, co żyje w nim samym — nie dla czegoś nazewnątrz. Od czasu Judymowego z Joasią zerwania upłynęły lata całe nowych przeżyć. Momenty tragiczne, momenty walki zostały pogłębione. Zrozumieliśmy, że w ofierze dla abstrakcji człowiek bynajmniej nie zawsze— rośnie, — owszem, bardżo często maleje. Stały się dla nas bliższe i zrozumialsze słowa Ewangelji, o tych co duszę, tak właśnie duszę swą ofiarują. Ale nie zawsze wiemy, czy czynią to świadomie? W tę świadomość wątpi Dąbrowska. Śniadowski może zginie — może znajdzie ratunek dla siebie w przyszłości — w wojsku, na urzędzie, bo ten człowiek poszukując oparcia w koncepcji jakiejś zatracił możność szukania go w samym sobie. On jeszcze jako insynuację traktuje rzucone mu słowo o tem, że przygotowuje się na polskiego żandarma czy generała, bo tej drogi nie widzi jako konsekwencji psychicznej — tylko jako — karjerę, ale sam nie wie, kiedy się ocknie w mundurze. Do ewolucji tej jeszcze Dąbrowska nas nie doprowadziła.

Powiedzieliśmy — oparcie. I bodaj że tu jest drugi problemat, który narzuca się od pierwszej do ostatniej chwili czytającemu te karty. Ludzie Dąbrowskiej szukają, szukają bez końca, szukają każdy czego innego i — nie mogą znaleźć. Nie może znaleźć Barbara, ani Celina, ani Teresa, ani Kociełł — nie może znaleźć Woynarowski ni jego córka Ksawunia... Stoi pośród tego wszystkiego mocny i pogodny zawsze Bogumił — stoi, bo — nie myśli o sobie. Niech kto inny go maluje, określa jego na świecie stanowisko, uzasadnia jego popędy i uczucia. On bierze fakty, tak, jak są. Potrafi chwycić się z losem za bary w imię instynktu samozachowawczego i wcale nie będzie twierdził, że robi to z jakichś zasadniczych przesłanek, zasad, wierzeń. Nie, on będzie robił to, co właśnie w tej chwili trzeba. I to ciekawe, że w tem niemyśleniu o zasadach, o roli swojej, w tem ograniczeniu — jest on najbardziej — powszechność chwytający i rozumiejący.

Idzie koło niego cały tłum ludzi wykształceńszych, oczytańczych, elokwentniejszych. Ale żaden z nich nie znajdzie w sobie owej opoki, na której stać można — nie potrafi żyć — nie zdoła i umrzeć. Jak gdyby wynurzała się z nich groza przerostu właściwości mózgowych, jak gdyby człowiek, który zaczął myśleć przenosił punkt własnej ciężkości hen gdzieś po za siebie i zawisał. Runie czy nie runie?

Agnisię przed tem runięciem broni jakowyś pęd, rozkochanie w życiu — (wąską kładkę można przebiec — nie spoglądając pod siebie). Zdaje się że jest to może odmiana tego samego, co tkwi tak mocno w Bogumile.

I co jest najtragiczniejsze, że człowiek zawsze, stale, na każdym kroku w gruncie rzeczy jest zdany sam na siebie. W lesie ludzkim żyjący ludzie są straszliwie samotni. Samotną jest zarówno Łuczaczka jak Celina, zarówno Anisia jak Kociełł i Woynarowski i Janusz i Ceglarski — samotni beznadziejnie—samotni zupełnie. Nikt ich równowagi zachwianej nie przywróci — nikt w żadnej chwili ich nie wesprze. W tym ogromnym tłumie ludzkim mówi się bardzo wiele o maluczkich, a nikt nie zdaje sobie sprawy z tego, że jest takim najmniejszym — takim najsłabszym, że poprostu potwierdzenia swojego prawa do życia będzie szukał u jakiejś... Olesi Chrobotówny, bo go wewnątrz nie posiada. W pewnych chwilach może Bogumił zdobywa się na podparcie Barbary, która nawet nie zdaje sobie z tego sprawy, czem ten człowiek jest dla niej — podparcie to przecież jest tam cząstkowe, tak drobne w porównaniu z tem, co istotnie trzeba, że obecność jego jako czynnika powiększa tylko tragizm rzeczy, tragizm ludzkiego współżycia.

Zdawałoby się, że teraz czas na jakiś wielki krzyk za dobrocią, za przyjaźnią, za spółżyciem ludzi dwojga czy trojga, czy jakiejś gromadki. Ten krzyk brzmi już w uszach...

Powieść jest nieskończona. Wstrzymajmy się z wybieganiem naprzód.

Dziś wszakże już można powiedzieć bez obawy błędu. Literatura polska otrzymała wielkie dzieło pracy — dzieło szczerego i dojrzałego talentu. Talentu, który kroczy odważnie naprzód.

Dąbrowska jęła się rzeczy bardzo trudnej dla artysty. Ale posiada ogromny dar naracji, który łagodnie ujmuje człowieka i prowadzi; posiada moc sugestji i głęboką umiejętność opanowania uwagi czytelnika, która jest napięta w czasie czytania i nawałem myśli ogarnia po przeczytaniu rzeczy. „Noce i dnie"— same przez się są wydarzeniem w dziejach myśli polskiej.

A. Uziembło.

PROSIMY O NADSYŁANIE ADRESÓW POD KTÓREMI NALEŻY WYSYŁAĆ OKAZOWY NUMER NASZEGO PISMA

Rzecz sumienia

A on, chcąc się sam usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest mój bliźni?

A przyjąwszy, Jezus rzekł: Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycha i wpadł między zbójce, którzy go też złupili i rany zadawszy, odeszli, na poły umarłego zostawiwszy.

I przydało się, że niektóry kapłan zstępował tąż drogą, a ujrzawszy go, minął.

Także i Lewit, będąc podle miejsca i widząc go, minął.

A Samarytanin niektóry jadąc, przyszedł wedle niego i ujrzawszy go, miłosierdziem wzruszony jest.

A przybliżywszy się, zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina, a włożywszy go na bydlę swoje, prowadził do gospody i miał pieczę o nim.

A nazajutrz wyjął dwa grosze i dał gospodarzowi i rzekł: Miej staranie o nim, a cokolwiek nadzwyż wydasz, ja, gdy wrócę, oddam tobie.

Któryż z tych trzech zda się tobie bliźnim być onemu, co wpadł między zbójce?

A on rzekł: Który uczynił miłosierdzie nad nim. I rzekł mu Jezus: Idźże i ty uczyń także.

Łuk. X. 29—37.

Ci, którzy się mienią być chrześcijanami, powinni choć czasem, choć zrzadka zaglądać do Ewangelji, aby sprawdzić, czy w głoszonych zdaniach na codzień nie odbiegają w zbyt rażący sposób od jej nakazów, od jej kategorycznych imperatywów. I nie wolno parcelować życia na sfery. Nie wolno nikomu w różnych dziedzinach myśli wyznawać coraz to inne autorytety, albowiem człowiek zawsze całością pozostaje, zawsze stanowi indywidualność i tylko indywidualność — i czyny tej jednostki, tej całostki zawsze jej własną odpowiedzialność obciążają i ją kształtują.

Nie umiemy i nie uważamy za możliwe znaleźć dziedzinę, w której wolno byłoby człowiekowi głosić jakąkolwiek nienawiść względem ludzi innego pochodzenia. Nie możemy się zgodzić, by tego rodzaju wystąpienia można było bezkarnie dla własnego poziomu etycznego przenosić na jakąś płaszczyznę pozaetyczną. I z tego stanowiska oceniamy i oceniać musimy objawy antysemityzmu, który pod wpływem hitlerji (czytaj histerji nordyjskiej) poczyna u nas wzbierać na siłach, poczyna opanowywać pewne kierunki myśli t. zw. politycznej, poczyna podnosić głowę coraz śmielej i domagać się gwałtu nad miljonową rzeszą polskich obywateli.

To nie jest sprawa poglądów politycznych — to sprawa etyki, sprawa przesądzona przez sumienie i — jeżeli komuś to jeszcze nie wystarcza, przez zasady religji, a nawet przez enuncjacje Kurji Rzymskiej, która nigdy nie wyrzekła się pracy misyjnej śród żydów.

Dla nas zagadnienie antysemityzmu nie może być obojętne. Pod pozorem ideowości, pod pozorem miłości dla narodu, pod pozorem haseł ogólniejszych, powiedzmy z największem zastrzeżeniem: altruistycznych, sączy on w człowieka psychikę ludożercy, rujnuje podstawowe zasady etyki i solidarności międzyludzkiej, dostarcza dla najbrudniejszych egoizmów płaszczyka, pod którym ludzie — co gorsza młodzież — usiłują zniszczyć lojalność spółzawodnictwa.

Hitler świadomie, czy nieświadomie posłużył się antysemityzmem z nielada maesterją. Chodziło mu o to, by po dojściu do władzy móc znaleźć pewną ilość posad dla znacznej ilości inteligencji, która pokalała się uczestnictwem w jego obozie. Wyrzucić żydów ze wszystkich stanowisk, jakie zajmują, i dać na ich miejsce „swoich". W ten sposób hołota, która w życiu nic nie umiała zdziałać, która w otwartej walce zawsze ulegała — zyskała sztylet, którym można było ztyłu pomordować zdolniejszych, lepszych, energiczniejszych.

I teraz prowadzi się to samo u nas. Tyle a tyle żydów pisarzy w pismach — dlaczego miejsc ich nie oddać hołotce? Tylu a tylu adwokatów. Nie można ich pozbawić zaufania klienteli, którą sobie zdobyli w ciągu długich lat pracy. Jednym dekretem o żydach można tych wszystkich klientów przetransportować do kancelaryj wszelkiego rodzaju miernoty.

Otóż w tem wszystkiem leży wielkie niebezpieczeństwo dla całości naszego społeczeństwa. Student uczy się, że, aby żyć, nie należy pracować — wystarczy rozbijać wózki z dziećmi żydowskiemi w ogrodzie saskim. Pracownik umysłowy, wolny, czy spętany urzędem, nabiera przekonania, że nie trzeba się doskonalić w zawodzie, bo wystarczy jakiś dekret przeforsować, aby za jednym zamachem otworzyć sobie drogę do awansu. Antysemityzm wojujący przenosi punkt ciężkości walki o byt z płaszczyzny samowykształcenia i samodoskonalenia na inną — wytępienia mocniejszych i lepszych.

Z tego względu właśnie musimy człowieka w Polsce uwolnić od tej zmory. Musimy podnieść nieodzowność jaknajenergiczniejszej walki z tem zwyrodnieniem. Musimy napiętnować w najbardziej energiczny sposób oportunizm tych zespołów społecznych, które ze względów demagogicznych, czy też ze względów „bezpartyjności" ośmielają się uchylać od walki i tolerować to zwyrodnienie. Musimy żądać od społeczeństwa, od jego świadomej, myślącej części energicznej akcji mocnego i stanowczego wysiłku, ku oczyszczeniu życia, ku uniemożliwieniu szerzenia tej zarazy, ku nawrotowi do zasad etycznych, wyznawanej przez większość, religji.

ETYKA CZY PRZEMYSŁ?

W czasie otwarcia nowego lokalu poradni świadomego macierzyństwa usłyszeliśmy kilka słów sprawozdania. Niektóre jego cyfry były warte zapamiętania. Otóż na 2.917 kobiet przyjętych w ciągu roku 1932 jest 1.452 takich, które poddawały się „psuciu", to jest pokątnemu sztucznemu poronieniu. Więc prawie połowa kobiet tych roniła. Ogółem przeżyły one 4.643 poronień, czyli więcej niż trzy na jedną.

Z nich poronień	1	miało	592	kobiet
„	2	„	347	„
„	3	„	241	„
„	4	„	109	„
„	5	„	199	„
„	6	„	44	„
„	7	„	23	„
„	8	„	20	„
„	9	„	6	„
„	10	„	19	„
„	13	„	3	„
„	15	„	5	„
„	20	„	5	„
„	30	„	1	„

Mamy więc do czynienia ze zjawiskiem masowem, które przeżera nasze społeczeństwo. Mamy do czynienia z masowem spędzaniem płodu, dokonywanem w najstraszniejszych pod względem higjenicznym warunkach. Całe ustawodawstwo zatem w tej dziedzinie odcina kobietę od fachowej, światłej pracy i oddaje ją w ręce najmniej powołane, a zatem służy jedynie pokątnemu procederowi i żerowaniu na ciemnocie. Niczemu więcej.

P. Krahelska komentuje te cyfry jak następuje:

„Na bezmyślny wrzask przeciw regulacji urodzeń, jako środkowi obniżenia liczby urodzeń w kraju i podcinania jakoby tym sposobem możliwości rozwojowych państwa, może sobie pozwolić tylko ktoś, absolutnie nie umiejący się rozeznać w znaczeniu i ustosunkowaniu się wzajemnem zjawisk wyśrubowanej i bezmyślnej rozrodczości i przerażająco wysokiej śmiertelności w Polsce. Jeżeli śmiertelność niemowląt do roku życia wynosi w Polsce 20,3%, podczas gdy w Rosji Sowieckiej 17%, w Czechosłowacji 17%, w szeregu zaś państw europejskich od 5 do 10%, to czas już podnieść, że nie leży w interesie państwa przodować w tych makabrycznych tańcach urodzin i śmierci na przestrzeni jednego roku życia nowonarodzonego".

A w czyim interesie leży? Ba — przecież istnieje przemysł pogrzebowy — przemysł poważny, angażujący spore zastępy i dobrze zorganizowane zastępy. Źleby było tylko, gdyby interes materjalny tego przemysłu mógł mocniej zaważyć na szali niż zdrowy rozsądek, względy etyczne i eugieniczne.

Trzeba naprawić...

W swoim czasie szereg głosów ostrzegał przed skutkami umowy o dzierżawie monopolu zapałczanego. Niestety, czynniki decydujące, zapatrzone w możliwość uzyskania pożyczki nie dały im posłuchu. Skutki dziś są. I nie tylko materjalnej natury — są znacznie głębsze.

Przypomnijmy sobie tylko niektóre ustępy motywów, jakiemi zaopatrzony był ówczesny projekt ustawy. Cytujemy dosłownie:

„Zapalniczki stanowić mogą niewątpliwie niebezpieczną konkurencję dla zapałek. Jeśli dziś nie dała się ona jeszcze odczuć, przypisać to należy przyzwyczajeniu ludności do używania zapałek oraz niewątpliwie pewnej niedoskonałości fabrykacji zapalniczek. W perspektywie jednak 35 lat nie jest wykluczone wyrugowanie zapałek przez inne środki zapalające... Monopol i opodatkowanie zapalniczek ma na celu nie dopuszczenie do tego, by zapalniczki stały się masowym, tanim punktem, stanowiącym konkurencję dla zapałek... Wysokość stawek zamierza właśnie do ograniczenia używania zapalniczek".

Warte zastanowienia się: ustawa państwowa kładzie tamę dla postępu rozwoju i udoskonaleniu pewnych przedmiotów. Ustawa państwowa kładzie tamę procesowi potanienia życia. Jest w tem coś nienaturalnego, coś — niedopuszczalnego.

Bo życie nie znosi tam.

Rzecz jasna, że podatek położył na obie łopatki przemysł rodzimy, wyrabiający zapalniczki — ale nie zapobiegł bynajmniej rozpowszechnianiu ich. Zapalniczka stała się tańsza, niż można było przypuszczać. Zapalniczka za granicą sprzedaje się po kilkadziesiąt groszy. A więc jest przemycana masowo do Polski. Każdy podróżny przywozi kilka sztuk na bardzo mile widziane przez wszystkich prezenty dla znajomych. Rozwinęło się i przemytnictwo masowe. Dziś można kupić zapalniczkę wszędzie — zarówno w stolicy, jak na prowincji. Ma ją robotnik, i chłop, i inteligent i policjant i urzędnik skarbowy. Zapalniczkę na ulicy, czy na targu sprzedają po 2 złote, a nawet taniej. Amortyzuje się ona dla palacza w ciągu jednego miesiąca. W tych warunkach nikt nie myśli o tem, że kupując ją popełnia przestępstwo skarbowe.

I oto odpływa nasz pieniądz zagranicę.

To ekonomiczna strona sprawy. Ale jest ważniejsza — moralna.

Przyzwyczajamy się popełniać przestępstwa skarbowe. Przyzwyczajamy się działać wbrew ustawom obowiązującym. Przyzwyczajamy się do lekceważenia obowiązków obywatelskich.

Kto są ci uliczni sprzedawcy zapalniczek? To przeważnie bezrobotni, szukający zarobku jakiegokolwiek. To przeważnie element, który nie chce występować na drogę przestępczości. Biorąc od hurtownika partję zapalniczek człowiek taki ma zupełnie spokojne sumienie. Za towar płaci, płaci nieraz pieniądzem uzyskanym ze sprzedaży ostatniego łóżka. Idzie i sprzedaje— uczciwie. Nikogo nie oszukuje, nie nabiera. Sprzedaje, by nie kraść i nie żebrać. I oto nagle — aresztują go. Zabierają mu i konfiskują to, za co on zapłacił.

Policjant, wypełniający swój obowiązek nie może i niewiadomo, czy potrafi wyjaśnić znaczenie tego konfliktu z prawem, w jaki wszedł ów biedny, szukający uczciwego zarobku człowiek. Nie wyłożą mu tego i władze więzienne. Nie ma czasu należycie mu tego wytłumaczyć sąd. Człowiek nawet ukarany więzieniem jeszcze uważa, że popełniono względem niego jakąś niesprawiedliwość, że sama władza najprostszą drogą pcha go do złodziejstwa przez zrównanie jego pracy ze zbrodnią. I tu dopiero rozpoczyna się istna tragedja, tragedja, której warto się zbliska przypatrzyć, aby zrozumieć, jak ostrożnym trzeba być, wydając normy dla życia.

Dawno znany jest fakt, że nie można cen wyrobów monopolowych śrubować zbyt wysoko, aby nie wytwarzać pokusy. Podrożenie wódki, czy spirytusu prowadzi zawsze do wzmożenia przemysłu samogonczanego. Podrożenie tytoniu — powoduje potajemną uprawę nikocjany. To samo jest i z zapalniczkami. Dziś, żeby zwalczyć ten handel trzeba powołać do życia specjalny aparat, trzeba zaangażować cały szereg specjalnych urzędników, zorganizować specjalną straż. Ale tylko pytanie, czy taka straż może się opłacić.

Ale nawet jeżeli ona się opłaci — to i w takim razie nie znajdzie się nic, coby zrekompensowało straty społeczne, polegające na spychaniu setek i tysięcy—tak jest, tysięcy obywateli do rzędu przestępców.

I oto postulat nasz: przystosować się musi monopol zapałczany do wymagań życia. Ceny zapałek i podatek na zapalniczki trzeba w ten sposób uregulować, by nie wytwarzać zbyt mocnej pokusy dla wchodzenia na śliską drogę przemytnictwa.

A jeżeli ktoś ma wątpliwości, co do masowości zjawisk, o których mówimy — niech spróbuje urządzić ankietę pośród znajomych, niech przeprowadzi ją w jakimś urzędzie państwowym, niech to zrobi w sposób dyskretny, by zdać sobie sprawę ile osób naprawdę używa przemycanych zapalniczek. Może procentowo nie mniej — niż piło wódkę w Ameryce podczas prohibicji.

Taka ankieta wieleby mogła powiedzieć p. Ministrowi Skarbu i wszystkim wychowawcom narodu.

MIŁOSIERDZIE, CZY WIEDZA

Oto na ulicy, koło przystanku tramwajowego stoi kobieta, obdarta, wynędzniała. Na rękach dziecko. „Głodna jestem. Nie mam czem dziecka nakarmić. Proszę choć grosik na kawałek chleba! Panie, choć jeden grosik". Widok nędzy wzrusza. Człowiek sięga po portmonetkę — daje drobną monetę. Na kawałek chleba wystarczy. To jest odruch miłosierdzia. Czy naganny? Przecież nie mamy najmniejszej podstawy posądzać tego, co tak postępuje, o faryzeuszostwo.

Analiza przecież skutków tego odruchu powiedziała by nam nieraz dużo ciekawych rzeczy. Ta kobieta wynajmuje dziecko od sąsiadki. Płaci za nie pewną kwotę tajemnie. Zarabia zależnie od punktu 7, 12, czasem i więcej złotych na dzień. Każdy odruch „miłosierdzia" stanowi dla niej zachętę do dalszej pracy w tym zawodzie. Może niedługo dojdzie do przekonania, że większą litość wzbudzi, jeżeli za pomocą jakichś plastrów wywoła wrzody na twarzy wynajętej dzieciny. Nauczą ją tego inni specjaliści — a wtedy dochody jeszcze wzrosną. Może kiedyś dostanie miejsce na progu kościoła, gdzie tych miłosiernych osób jest wiele, gdzie dochody są jeszcze większe.

Czy można potępiać zatem — zwykły odruch miłosierdzia? A przecież jest on szkodliwy — bezwzględnie szkodliwy. Jest on tym elementem rozkładu wzmagającym plagę żebractwa, zwalczaniem której coraz bardziej zaczynają się zajmmować czynniki rządowe i słusznie.

A gdyby te datki, płynące i dziś dość obficie do rąk żebraków zawodowych znalazły się w kasach zorganizowanej należycie instytucji opiekuńczej — to, możemy zupełnie być pewni, że dziś głodnych w Warszawie by nie było.

Opieka musi być celowa. Nie dość dać — trzeba wiedzieć komu dać. I jeszcze więcej — trzeba wiedzieć, jak dać, w jakiej postaci. Świat lekarski już zna doskonale zasadę — niema chorób — są chorzy. To samo w jeszcze większej mierze można by było zastosować do świata nędzy. Niema nędzy — są ludzie w jej odmęty strąceni. Są ludzie, których sytuację trzeba zrozumieć nie w uogólnieniu — ale w szczegółach, w każdym indywidualnym wypadku.

Dać obiady bezrobotnemu — to zdawało by się jest rzeczą najważniejszą. Bierzemy do ręki sprawozdanie Obywatelskiego Komitetu Pomocy Społecznej, instytucji, która w ciągu ostatniego roku sprawozdawczego półpiąta miljona obiadów wydała i dowiadujemy się z niego, że w czasie zimowym znaczna ilość uprawnionych nie korzystała z obiadów, gdyż — brak tam było ciepłego ubrania. Z całej rodziny nikt nie mógł przyjść po ten obiad — boso — bo mróz. Bywały wypadki nagłych zachorowań po zjedzeniu porcji obiadowej. Przeprowadzono najściślejsze dochodzenia. Jadło było przyrządzone zupełnie dobrze, nieraz nawet smacznie — ale dany człowiek nie mógł ze względu na stan zdrowia strawić tego, co mu podano. Kiedy indziej człowiek jakoś by się używił, gdyby nie konieczność opłacania zaległości za komorne. Gdzie indziej powodem nędzy jest pijaństwo.

Tam dziecko pozostaje bez chleba — choć ojciec ma się dobrze. Tylko matka poprostu nie umie wyprocesować należne jej i dzieciom alimenty. W zakładach dla podrzutków większość dzieci mogła by uzyskać zaopatrzenie od swoich ojców — tylko niema instancji, która by się do tego zabrała. I koszta utrzymania dzieciarni ponosi gmina.

W innych wypadkach trzeba ratować zdrowie, kiedy indziej spokój domowy. Czasem niewielka sumka daje człowiekowi w ręce kapitał obrotowy do jakiegoś prymitywnego zarobkowania.

Nie wyliczamy ani setnej części wszelkiego rodzaju możliwości — bo jest ich tyle, ile ludzi. I żeby każdej z nich zaradzić — trzeba tych ludzi znać. I nietylko trzeba znać ludzi, ale trzeba znać warunki zewnętrzne, w jakich żyją, trzeba się orjentować doskonale w organizacji społecznej i państwowej, w jakiej żyjemy, aby umieć skierować daną jednostkę, gdzie należy, aby nie poprzestać na radzie udzielonej szybko, na zapomodze w pieniądzu, czy naturze, ale dopilnować całej procedury pomocy i wykonania każdego zlecenia.

Otóż samo dobre serce, samo miłosierdzie tu nie pomoże. To właśnie miała na myśli p. Uziembło, kreśląc wstęp do ostatniego Sprawozdania Sekcji Pomocy Matce i Dziecku Ob. Kom. Pomocy Społ.

I mamy wrażenie, że występując w obronie miłosierdzia w „Kurjerze Warszawskim" przeciw owemu sprawozdaniu, znany i ceniony publicysta społeczny p. J. Cz. padł ofiarą pewnego nieporozumienia. Nie przeciwko miłości bliźniego, nie przeciwko pomocy z serca płynącej, występowało sprawozdanie owo, ale wysuwało stanowczo postulat racjonalizacji pomocy. Nie ten czyni dobrze, kto chce, lecz ten, kto umie. Cukierek dany dziecku na jego prośbę w chorobie może je zabić. Jałmużna, płynąca z najczystszych pobudek krzewi plagę żebractwa, jadło przeznaczone dla niemającego odzieży zmarnuje się i t. d. i t. d.

Ale ten postulat bynajmniej nie ma na celu zmechanizowania opieki. O — trzeba chyba bardzo powierzchownie czytać owo sprawozdanie, by nie zrozumieć, że każdą literą swą powiada ono, że bez serca nic się w tej dziedzinie nie zrobi, niczego się nie dokona. Mało jest dowiedzieć się o sytuacji człowieka — trzeba go wyczuć. Trzeba przeniknąć się myślą, że nie jest on moim „biednym bratem" lecz jest właśnie taką samą jak ja jednostką, podlegającą tym samym namiętnościom i depresjom, mającym te same potrzeby i tę samą organizację psychiczną — trzeba go wyczuć. „Bez miłości — powiada Świętochowski — nawet nóg liszki nie policzysz". Nie wiedza czy miłość, ale i wiedza i miłość razem — oto jest postulat, wysunęty przez p. Uziembło.

P. J. Cz. wskazuje ile to luk w dziedzinie opieki społecznej wypełnia miłosierdzie. Nie chcemy się spierać. Zapewne, że tak jest. Ale ile środków przy tej sposobności się trwoni? Trwoni bez niczyjego pożytku — trwoni z najczystszych pobudek.

Jest cnota chrześcijańska, zalecona przez Ewangielję — która się nazywa pokorą. Wielka to cnota i bardzo ją należy propagować. Ta cnota nakazała by ludziom serca podejmować się tego, czego mogą. Kto ma pieniądze — niech je złoży rozumnie. Niech się poradzi, w jaki sposób je złożyć. Kto chce pracę — niech się nauczy jej — niech odbędzie praktykę, która go oświeci, która mu pokaże drogi — da doświadczenie. Bez tego każda praca będzie owocną tylko — przypadkowo. I chyba temu p. J. Cz., który tylekroć z takiem zrozumieniem odnosił się do każdego planowego poczynania społecznego, który tylekroć okazał tyle zrozumienia dla pracy głębszej — nie zaprzeczy.

J. Surzyński.

Elita

Lansowane z różnych stron pojęcie elity ma znaleźć nareszcie wyraz w naszem ustawodawstwie. Do elity narodu należą wybory do Senatu. Określenie elity jest gotowe. Kawalerowie krzyży Virtuti Militari i Niepodległości.

Czy wszyscy zasłużeni krzyż dostali? Czy wszyscy, którzy dostali krzyże te są istotnie zasłużeni? Te pytania pozostawmy na boku. Nie ulega wątpliwości, że zachodziły czasem pewne pomyłki.

Czy, podejmiemy drugie pytanie: Virtuti Militari jest tem samem co virtuti civili?

Nikt tak nie twierdzi. Chodzi o co innego. Chodzi o wartość moralną człowieka. Chodzi o zaufanie do tych, którzy złożyli ofiary ponad obowiązek, że oni właśnie będą wybierać bez względu na swe osobiste korzyści — najgodniejszych, że oni staną do apelu bezinteresownie, że składając kartkę wyborczą każdy z nich będzie miał poczucie odpowiedzialności

Otóż bez względu, czy kto uważa rozstrzygnięcie tego rodzaju za słuszne, czy nie — musimy przyznać bezwarunkowo, że cennem w niem jest wprowadzenie zasady moralnej do kwalifikacji człowieka. Cennem w niem jest, że w jego etyce społecznej szuka się zasad do nadania mu praw obywatelskich. Występuje moralność człowieka i tę pragnie uchwycić ustawodawca.

Zasadę powitać trzeba z najwyższem uznaniem. Ale odrazu stwierdzić wypada, że nie jest ona ani pełna, ani kompletna, ani nawet wystarczająca.

Uczestnicy walk o niepodległość? To już pokolenie wczorajsze — w masie swej pokolenie przedwczorajsze. Po nich przyszli ludzie nowi. Nowi ludzie tworzą nową literaturę, nową myśl, nową naukę — nowe kierunki.

Toż już trzydziestkę przekracza pokolenie, które w wojnie wielkiej udziału brać nie mogło. Toż już działaczami są ludzie, którzy wogóle nie pamiętają czem było panowanie moskiewskie, czem było prusactwo. Urósł już i walczy w szeregach bojowników życiowych ten nowy człowiek, który się urodził w Polsce niepodległej, jest w niej wychowany dla [illegible]go Polska to nie marzenie, nie jakaś zjawa świetlana — ale konieczność narzucona, ale rama, w której on żyje i żyć nie tylko chce, ale musi. Żyje to pokolenie twórcze, silne, odważne, stawiające coraz nowe wymagania państwu — przeniknięte jego wagą, jego doniosłością nieporównanie więcej od nas, którzy przez długi szmat swego życia „uczyli się pod ziemią kryć z gniewem i być jak otchłań w myśli niedostępna", którzyśmy więzienie uważali za pasowanie rycerskie: których animowała nuta „mazura kajdaniarskiego"— którzy zawsze byli wolontarjuszami własnej ojczyzny z dobrej woli jej służyli, odchodzili na urlop lub do dymisji, i znów do niej z dobrej woli wracali.

Nie, że którego z nas pominie nominacja do elity, lecz że do niej nie zostanie zaliczony nikt z tego nowego pokolenia — ot, co jest luką.

A więc? Powiedzmy sobie wyraźnie: przekazanie rozpatrzenia sprawy elity nowemu senatowi — jest rezygnacją z utworzenia pojęcia elity, rezygnacją z podania definicji pojęcia cnoty cywilnej. To jest zepchnięcie opracowania tego kardynalnego zagadnienia na... Na kogo? W praktyce — na siebie samych w nowe doświadczenie odzianych.

F. Doronicz.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

Odpowiedzialność osobista za siebie bodaj że stanowi najbardziej zasadniczą cechę bohaterów Conrada. Tylko nie każdy zdoła jej sprostać. Conrad bada wytrzymałość człowieka pod tym względem. Najściślej, najstaranniej opracowuje w swem laboratorjum artystycznem warunki dla swoich postaci i każe im żyć samodzielnie. Sam obserwuje tylko. Usiłuje być obserwatorem zupełnie bezstronnym, więcej, by zachować tem większą bezstronność, ogląda ludzi stworzonych, wyczarowanych przez siebie, przez pryzmat jednej, a czasem kilku różnych jednostek, których relacyj każe nam wysłuchiwać. Przytacza te obce sprawozdania, które uzupełniają to, co jemu nasuwają własne spostrzeżenia. Korzystanie z pośrednictwa, z opowiadań osób trzecich, stojących na uboczu akcji stanowi metodę nie tyle artystyczną, co badawczą, przypomina niejednokrotnie Dostojewskiego. Tylko Dostojewski, wplątując siebie samego w gmatwaninę wypadków, zdobywał swobodę dla własnego polemicznego subjektywizmu, wchodził sam na scenę własną dlatego, by walczyć, oburzać się, drwić, przekpiwać. Conrad przy pomocy tego opowiadacza wydobywa coraz nowe znaki zapytania. Nieraz narrację z jednych ust w drugie przekłada, by jeszcze pewne problematy pogłębić. Conrad usiłuje przeniknąć w duszę swoich bohaterów i nigdy nie łudzi się, że przeniknął w nią naprawdę. Nie — on tylko to i owo z niej pochwycił. Wiedza o granicach swej wiedzy jest w jego rzeczach poprostu imponująca.

Tłem opowiadań Conrada jest prawie zawsze morze. A morze bynajmniej nie jest u niego sztafarzem, który możnaby pominąć. Przenosząc dzieje na plan inny, morze jest również nie tyle artystycznym, co metodycznym środkiem. Na morzu i tylko na morzu obserwować możemy całostkę społeczną, wykończoną zupełnie i zamkniętą — niezawisłą w czasie podróży od świata całego. Świat zewnętrzny w czasie żeglugi odgrywa rolę tylko przeznaczenia, które powiada, że droga nasza wiedzie — stąd dotąd. To trzeba wypełnić. Poza tem społeczność ludzka, która się na okręcie znalazła, żyje wyłącznie tylko we wzajemnej zależności od ograniczonej ilości członków, których poznajemy zawsze jednego po drugim. Stanowi to uproszczenie nielada. To niejako redukcja czynników, z któremi pisarz, obserwujący człowieka ma do czynienia. Redukcja bardzo poważna. Dla tego staje się możliwą kontrola tego wszystkiego, co na obserwowaną jednostkę działa — zmniejsza się ilość kompromisów ze światem, rozszerza zakres działania czynników wolnej woli. Oto dlaczego morskości Conrada nie można pomijać i nie można przyjmować jej jako coś przypadkowego, bez czego byłaby jego twórczość równie potężna. Metoda morska narzuca pewne rzeczy.

„Metoda morska" okrętowa zastępowana jest niejednokrotnie przez izolację. Ale z natury rzeczy izolacja ta musi być u twórcy o tak dalece rozwiniętym zmyśle realizmu usprawiedliwiona warunkami geograficznemi. Conrad z przedziwną maestrją umie ją sobie stworzyć raz na wyspie (Zwycięstwo). Ale nawet na tej wyspie część malajska zostaje dokładnie odgrodzona od europejskiej), kiedyindziej w ostępie (Szaleństwo Almajera). W razie potrzeby izolacji zostaje poddany cały kraj (Sulaco - Nostromo). Dowolną ilość jednostek tworzących pewne społeczeństwo

zamyka Conrad, aby eksperymentować niemi podług własnej woli i dopuszczać z zewnątrz możliwie najściślej kontrolowaną ilość wpływów.

I oto taki eksperyment, jeden z najciekawszych został dokonany w ostatnio wydanej po polsku powieści „Lord Jim".

Może nigdzie moment odstępstwa nie był tak mocno, tak szczegółowo, tak wyczerpująco opracowany jak właśnie tu. Opuszczenie przez oficera okrętu, mającego lada chwila zatonąć, to ostateczna niegodziwość, to coś, na co niema usprawiedliwienia, coś, za co musi nastąpić wykluczenie ze społeczności morskiej, ze społeczności szanujących się ludzi. Okręt nb. ocalał. Ocalał jedynie po to, by zbrodnia dezercji okazała się w całej swej ohydzie.

Główni winowajcy — kapitan i pierwszy oficer, kanalje z pod ciemnej gwiazdy — znikają. Zmienią miejsca pobytu i jeszcze raz rozpoczną życie na nowo. Dla nich to mniej więcej denerwujący epizod, powodujący konieczność zmiany miejsca pobytu, okolicy żeru. Pozostaje Jim — dezerter przypadkowy.

Jim już w szkole morskiej marzył — marzył o niezwykłych bohaterstwach i pogrążony w marzeniach — zapomniał o rzeczywistości. Ta rzeczywistość jemu się nie udawała. Po każdem zaś niepowodzeniu marzenie nadsztukowało ją . Jim żyje o parę centymetrów nad poziomem bytowania własnego i nie widzi, jak się zaczyna staczać, jak zaciąga się na statek, którym wogóle nie powinien był jeździć, jak znajduje się w towarzystwie, w którem nie powinien się znaleźć, jak wsysa go spekulacja morska. Jim zamyka na to oczy, oczekując wielkiej przygody, która mu pozwoli napawać się nadzwyczajnością.

I moment tej przygody nadchodzi. Tylko w nim niema absolutnie nic nadzwyczajnego. Na morzu cisza. Transportowiec przewożący tłum muzułmańskich piegrzymów płynie najspokojniej w świecie. Nic mu nie grozi zdawałoby się. I nagle jakiś wrak dziurawi dno okrętu.

Wrak. Jakieś pływające resztki rozbitego statku. Jeden wypadek na — tysiąc. Dzieje się to nagle, bez jakiegokolwiek wstępu i — bez efektu. Tu niema żadnej walki. Poprostu woda przedostała się do pewnej ilości komór okrętowych i ciśnie na ocalałą ścianę. Jeżeli ściana nie wytrzyma — koniec, okręt zatonie. W tem cały sens. Niema żadnej walki, niema żadnego wysiłku. I być nie może. Jakiś absurd. I bez paniki bez strachu, bez niczego poprostu Jim poddaje się dezercji, daje się w nią wciągnąć swym zwierzchnikom.

A dalej zaczyna się pokuta. Płaski realizm życia obudził człowieka ze snów, obudził doszczętnie, brutalnie. Już nie może roić o nadzwyczajnościach. Już trzeba w tem realnem życiu coś znaleźć, znaleźć miejsce pod słońcem.

Conrad znajduje to miejsce w — ucieczce. Nie umie pozostawić człowieka w społeczności. Dlaczego? Czy dlatego, że „wilka zagryzionego inne dobijają"? Czy dlatego, że nie wierzy w jego moc walki z gromadą?

Jim ucieka tak daleko, aż wszelki związek jego ze społeczeństwem zostaje zerwany. Osiada w najprymitywniejszych warunkach — i odnajduje siebie w organizowaniu życia ludzi pierwotnych, półdzikich.

Jim nigdy nie odwróci się od niebezpieczeństwa. Jim nigdy nie zrzuci z siebie odpowiedzialności. Jim nigdy nie opuści stanowiska i na niem padnie — zginie.

Tylko — i to jest najciekawsze bodaj z całej sprawy — Jim tego nowego wyboru miejsca nie dokona samodzielnie. W tej najkrytyczniejszej dla siebie chwili musi znaleźć pomoc (Deus ex machina?). Ta pomoc musi przybyć, musi go podeprzeć. Dla podtrzymania swojej wiary w siebie on musi mieć wiarę jeszcze jednego człowieka bodaj, jeszcze jednej żywej jednostki, która za niego dokona wyboru, która będzie nad nim czuwała. Regeneracja lorda Jima odbywa się pod najczulszą opieką, która przetrwa szereg prób nieudanych, potrafi nie zniechęcać się niczem, a jest tak dyskretną, że nie moralizuje, nie myśli nawet o moralizowaniu, tylko stwarza warunki. Bez tej pomocy Jim nie mógłby ocaleć.

I to ciekawe właśnie, że momentu tego autor sam nie docenia, usuwając w cień Marlowa, opowiadającego nam te przedziwne dzieje, pomijając zupełnie i samego Jima i wzajemny stosunek tych dwóch ludzi, rejestrując zaledwie obrazy z życia odrodzonego człowieka. I dla tego owo odrodzenie, przepysznie przeprowadzone, zdaje się być aktem wiary wielkiego pisarza, wiary na kredyt, wiary, której życie nie ziściło nawet w postaci bezsensownej śmierci.

Dostojewskij umie odnaleźć człowieczeństwo w bagnie i po skonstatowaniu go pozostawia wszystko dalszemu biegowi rzeczy, nie będzie się silił stwarzać dlań jakichś warunków, ba — gotów jest czasem dojść do absurdalnego przekonania, że to człowieczeństwo samo się wynurzy. Conrad jest czynny z natury. On szuka wyjścia, szuka upustu dla energji ludzkiej, szuka pola do pracy, do czynności. I nie spostrzegł, że otwierając drogę do odrodzenia dla swego bohatera, musiał użyć do tego kogoś, który miał zostać tylko świadkiem.

Conrad postawił nas wobec największej zagadki, z jaką ma do czynienia literatura — spółżycia ludzi — zagadki tego, co ludzie wspólnie wytwarzają. Wobec tego zagadnienia myśl literacka się cofa. Conrad Korzeniowski stanął na samym progu świata, w którym „ja" i „ty" w pewnych swych cząstkach zlewają się — łączą i wyłaniają coś nowego. I tu leży ogrom doniosłości tej przedziwnej twórczości — tak głęboko społecznej.

A. U.

LATARNIA ŻEROMSKIEGO

Burza przeszła. Po ciemnem niebie rozwłóczyła się czarna opona, mackami grubemi, podtrzymując szare obłoki. Duszno jeszcze.

A po przez ciemnię nocy z oddali biją rozbłyski. To nie pioruny odległe. Raz dwa trzy — błysk. I znów na trzy — błysk... I widać te błyski na całem naszem wybrzeżu. Lecą nad wody, zwiastując marynarzom pobliże lądu.

To latarnia rozewska. Latarnia, której w dniu Święta Morza tego roku nadano Imię Żeromskiego. Wątpię jednak, czy ktoś po poważniejszym namyśle powie, że dar ten był godzien wielkości.

Latarnia rozewska została zbudowana w czasie Wielkiej Wojny. Obok niej dotąd stoi dawna, zaniedbana opuszczona — mniejsza. I byłaby stała zapewne — gdyby nie zawierucha światowa. Tu, na tem opuszczonem wybrzeżu, na tem pustkowiu słabe były straże — więc zdecydowali Niemcy zmylić nieprzyjaciół. Wzniesiono więc latarnię większą, przydatniejszą do mamienia obserwatora, do wprowadzania

w błąd statków nieprzyjacielskich, które tu z wrogiemi zamiarami nadpływały. Podstęp wojenny dał jej początek.

Latarnia przeszła w nasze posiadanie. Nie myśmy ją budowali. Niema w niej ani naszej pracy, ani naszego genjuszu. I trudno pozbyć się wrażenia, że wmurowując w nią tablicę z nazwiskiem Wieszcza — poprostu wykpiliśmy się od odbowiązku postawienia mu tu trwalszej pamiątki, godniejszego uczczenia. A wrażenie to jest tem mocniejsze, że Żeromski nie raz i nie dwa razy mówił, czego chce od morza dla Polski.

Wędrując po piaskach nadbrzeżnych, wygrzewając się w tem słońcu, myślał, że tu właśnie jest miejsce, skąd zdrowia struga winna się rozlać po Polsce. Tu wyszle Polska swe skrofuliczne dzieci, z wilgotnych nor przedmieści i zaułków, by nabrały opalenizny, rumieńców, siły, nabrały rozpędu do ciężkiej walki o chleb i prawa człowieka.

I myśl Żeromskiego zdawała się nawet nabierać kształtów realnych. W swoim czasie Towarzystwo Opieki nad Dziećmi Syberyjskiemi co rok organizowało dla swych wychowanków kolonję na Helu. W obozie tym znalazły się dziewczęta i chłopcy, a dwa miesiące, spędzone na plaży i w morzu, przy wiosłach i żaglu dawały tej młodzieży jakiś osobliwy hart. Czar niewysłowiony wiał od tych postaci młodzieńczych, pędzących surowe obozowe życie, kształcących w sobie charakterystyczne cnoty karności, zespołowego działania, tężyzny — a obok tego tak mięko wchłaniających urok eurytmji i spoczynku w estetyzmie.

Obóz dzieci syberyjskich przestał istnieć. Po zniszczeniu go nikt nie pokusił się stworzyć czegoś podobnego. Znikły jachty i żaglówki. Dla tych, co mogą płacić, powstał obóz wyszkolenia morskiego — ale społeczna pomoc dla dzieci proletarjatu — zamarła.

A przecie stworzenie obozu dziecięcego nad wybrzeżem jest rzeczą nieodzowną, jest rzeczą niezmiernie ważną. Ważną zarówno społecznie, jak i wychowawczo.

Morze to źródło zdrowia. Żeromski miał głęboką rację, że nic tak nie leczy tych wszystkich krzywic, rachitisów, skrofuł — jak owo słońce morskie, jak owa woda słona. Dzieci, wystawione przez cały dzień na działanie słońca i powietrza po kilku tygodniach mogą tu odzyskiwać zdrowie. Ale morze to coś więcej nawet niż zdrowie fizyczne — dary jego są nieskończenie bogatsze. Łódź, żagiel, walka z falą — to wszystkto daje umiejętność działania w zespole. Chłopak maszerujący w szeregu na komendę nieraz ma wątpliwość co do pożytku tego rodzaju przebywania odległości. Zawsze wydaje mu się dogodniejsze znacznie i przyjemniejsze chodzenie indywidualne. Zespołowe działanie na statku narzuca się samo przez się. Zasady karności stają się najprostszą koniecznością. Wszelkie uchybienie względem niej mści się natychmiast w sposób najbardziej dotkliwy. Sport morski, ten najszlachetniejszy z wszystkich sportów posiada niewątpliwie najwyższe walory wychowawcze. I to jest wzgląd, dla którego każde dziecko polskie powinno mieć możność zetknięcia się z morzem — przyjrzenia się jego życiu.

Pamiętajmy i o tem, że nasza ludność nadbrzeżna jest bardzo nieliczna. Mamy całego majątku około 100 km wybrzeża (nie licząc Helu podwójnie), słabo zaludnionego. Ludzi tych zatem, którzy się zrośli z morzem, którzy uważają je za naturalny teren swojej pracy jest za mało — za mało dla marynarskiej służby, za mało i dla rybactwa. Współzawodnictwo wśród tej nielicznej ludności jest zupełnie nikłe, bo prawie każdy Kaszub, który się zgłosił, musi być przyjęty na okręt z braku kogo innego.

Utworzenie kolonij dla młodzieży i dziatwy miejskiej może dla niej otworzyć perspektywy nowych zawodów, a zapoznanie się z wodą umożliwi opanowanie przynajmniej w pewnej mierze najniezbędniejszych, potrzebnych dla rybaka i marynarza umiejętności. Rozszerza się w ten sposób rezerwoar ludzki, z którego czerpać możemy ludzi do pracy morskiej, co jest rzeczą niezmiernie ważną.

A nie można też przeoczyć i doniosłości samej wymiany ludzi pomiędzy wybrzeżem a śródlądziem. Wiadomości, przywiezione przez dzieci o morzu, o wybrzeżu do środowisk proletarjackich, to potężny czynnik nie tylko zespolenia poszczególnych dzielnic, ale potężna dźwignia świadomości państwowej w sferach, gdzie kształcenie jej zawsze napotyka na szereg wielkich trudności.

Oto są względy ogólne, dla których uważamy utworzenie obozów nadmorskich dla naszej dziatwy za rzecz ważną, za rzecz niecierpiącą zwłoki.

Śmiemy twierdzić, że nawet przy dzisiejszych trudnościach budżetowych realizacja tego planu nie napotka większych trudności. Ziemi na wybrzeżu naszem jest dużo. Wzniesienie lekkich budynków, służących tylko do letniego pobytu — to nie są koszty, które miałyby kogoś przestraszyć. Twierdzimy, że więcej tu trzeba odwagi myśli, sprężystości organizacyjnej — niż samych pieniędzy. Przecie i dziś urządza się kolonje letnie i dziś wysyła się tysiące dzieci na wieś. Liczba tych wysyłanych wciąż rośnie — chodzi tylko o to, by tym nowym zastępom dać miejsce na wybrzeżu.

Oto czego oczekiwał Żeromski. Oczekiwał nie ofiary ze wzniesionej obcą pracą latarni, lecz kolonji dziecięcej Swego Imienia.

M. Ajwazowicz.

YO-YO

Temat niemodny i niemodny tytuł. Ale zjawisko niezmiernie ciekawe. Ciekawe dla socjologa, ciekawe i dla ekonomisty. I bodaj, że brak analizy tego zjawiska jest najbardziej charakterystyczną oznaką abulji społecznej, jaka ogarnęła świat cały.

Postarajmy się je sobie uprzytomnić.

Kryzys jest w całej pełni — samo dno kryzysu. Firmy się zwijają, sklepy bankrutują — nikt nic nie kupuje. Zarobków niema.

I oto nagle komuś przychodzi do głowy zabawiać się krążkiem na sznurku. Yo - yo. Dzieci, podrostki, panienki, młodzieńcy, ludzie starsi — wszystko nagle opanował szał yo - yowania. Sprzedawano te krążki po złotówce, po dwadzieści groszy; znalazły się yo - ya ebonitowe, metalowe, rogowe — sznurki bawełniane, lniane, konopne, jedwabne, sznurki elastyczne, sztywne i miękie. Ktoś urządził konkurs, padały rekordy. W opróżnionych sklepach ukazali się klienci — Yo - yo. Wszyscy chcą yo - yów. Setki sprzedawców ulicznych demonstruje je na ulicach, podrzucają w dół, bok, naprzód. W pewnej dziedzinie ni z tego niz owego nastąpiło „ożywienie". Cały szereg rodzin rzemieślniczych znalazł zarobek. Cały szereg sklepów znalazł sposób przetrwania.

O ile mi wiadomo, nikt nie pokusił się ująć w cyfry tego zjawiska. Żadna ankieta nawet w przybliżeniu nie dała nam pojęcia o wielkości tego ruchu. A wielka szkoda. Bo to yo - yo może stanowić klucz do bardzo

poważnych rozważań — może wskazać drogę niezmiernie pożyteczną w kierunku zwalczania nie tylko skutków bezrobocia, ale i samego bezrobocia.

Oto na przykładzie niewielkim, może nawet bardzo dobrym, pokazało się, że w epoce ostrego przesilenia gospodarczego można stworzyć konsumcję na produkt nowy, nie używany dotąd, że ten produkt nowy wchodzi na rynek i zdobywa sobie pokup. Ze stanowiska gospodarczego ma on tę zaletę, że nie robi konkurencji innym, że owszem, dając zarobek pewnej grupie ludzi podnosi spożycie innych przedmiotów, przedewszystkiem codziennego użytku — kosztem przyśpieszenia obrotu. Zużywa się nań gotówkę, która w braku jego kryłaby się, chowała, wycofywała na pewien czas z obrotu bez żadnego pożytku dla życia.

Otóż tu właśnie otwiera się ogromne pole do działalności.

Nasz rynek wcale nie jest tak mało pojemny, jakby się mogło zdawać — a przynajmniej jego siła potencjonalna jest o wiele większa, niż ta, która się kinetycznie ujawnia. Dość spojrzeć na obieg banknotów w Polsce, który zmniejszył się o wiele mniej niż wskaźnik cen — a więc stosunkowo jest wyższy niż w latach najlepszej konjunktury. Więc są pieniądze — tylko z jednej strony coraz mniejsza ilość ludzi posiada więcej niż przeciętne zarobki, a z drugiej zaś coraz mniejszy jest impuls do kupowania. Dlatego duży zbyt mogą znaleźć rzeczy tanie, niewielkie, ale dające pewne udogodnienia lub rozrywkę.

Rzeczy tych wielki przemysł nie wytworzy, gdyż produkcja ta musi być elastyczna, zastosowana do chwili, obliczona na moment. Ale otwiera się ogromne pole pracy dla rzemiosła, dla chałupnictwa, opartego o nieduże warsztaty maszynowe z jednej strony i posiadającego sprężystą organizację handlową.

Drobne grupki przemysłowe, złożone z technika - wynalazcy, handlowca, kilku rzemieślników, rzucające na rynek coraz nowe, mniej lub więcej fascynujące artykuły w rodzaju jakichś ulepszonych sznurowadeł do butów, spinek automatycznych i całego szeregu innych artykułów tanich, codziennego użytku — mogą rozruszać nasz rynek w sposób zupełnie niespodziewany i, dając zarobek setkom a z biegiem czasu i tysiącom ludzi, dokonać poprostu pewnego przewrotu w życiu gospodarczem — niech się nikt nie przeraża zuchwalstwem — całego kraju.

Trudność, jaka się tu nasuwa to fakt, że w tego rodzaju organizacji nie ma się do czynienia z wielkiemi przedsiębiorstwami, w których uruchomienie odrazu zatrudnia całe masy, które, co więcej, wciągają w orbitę życia gospodarczego jednostki najbardziej bierne, jednostki przyzwyczajone do pracy w jarzmie posady, w ściśle określonym zaprzęgu. Nie — tu mamy do czynienia z jednostkami, śród których trzeba jak najstaranniej dobierać element energiczniejszy, sprężystszy, czynniejszy. Dla takich grupek trudniej o kapitał, trudniej bez porównania o pożyczki. Tę trudność jednak trzeba pokonać. Sądzimy, że właśnie na tej drodze można pomyśleć o zakończeniu opieki indywidualnej przez danie jednostkom, które się wyciągnęło z bierności zarobków, zarobków może niewielkich, ale w każdym razie, zapewniających skromne utrzymanie.

I bynajmniej nas nie straszy powolność zaradzania złu, przez usamodzielnianie gospodarcze niewielkich grupek. Pamiętajmy o tem, że każdy człowiek żyjący, każdy spożywający daje możność życia wokoło siebie całemu szeregowi innych, zaspakajających jego potrzeby. I wydaje się nam, że ten sposób postępowania jest o wiele słuszniejszy i o wiele bardziej celowy niż roboty publiczne, albo roboty o znaczeniu publicznem, które naogół wytwarzają przedmioty spożycia publicznego, narzuconego, a więc rentujące się znacznie wolniej i nie tylko nie przyśpieszające obrotu, ale owszem ten obrót pod wieloma względami opóźniające. *Tom. Wodzica.*

WYDAWNICTWA

UBEZPIECZENIE ZDROWIA.

Sprawa ubezpieczenia na wypadek choroby, rozstrzygnięta u nas przez ustawodawstwo o Kasach Chorych jest wciąż przedmiotem rozważań ze strony całego szeregu specjalistów-ubezpieczeniowców, omawiana jest też bardzo szeroko i przez lekarzy. Dla tych ostatnich jest to zagadnienie zawodowe. Od takiego czy innego postawienia go zależy ich przyszłość, ich byt — powiedzmy — zależy i poziom medycyny. I nie ulega wątpliwości, że fakt ten bynajmniej nie wpłynie na jasność ich sądów i niejednokrotnie zabarwia ich rozważania na ten temat obecnie.

Świeżo wystąpił z enuncjacją w tej sprawie znany społecznik dr. med. E. Birzowski, zestawiając nowe głosy, domagające się reformy ubezpieczeń chorobowych, omawiając przedewszystkiem prądy, jakie w tej sprawie nurtują w Niemczech współczesnych. Dr. Birzowski nie uniknął przytem błędu powszechnego oparcia się o opinję lekarzy. I właśnie dla tego prawdopodobnie, po przytoczeniu poważnego i bardzo skrzętnie nagromadzonego materjału — kończy swój wywód znakiem zapytania. Reforma jest potrzebna. Ale jaka?

Lekarz, jako lekarz odpowiedzieć na pytanie to nie może. Ubezpieczenie na wypadek choroby obejmuje bowiem nietylko zagadnienie lecznictwa samego, ale i zabezpieczenie bytu chorego podczas choroby i zapewnienia warunków, w jakich może nastąpić wyzdrowienie. Wiedza lekarska tu nie wystarcza. Rola lekarza w dziedzinie ubezpieczeń tego rodzaju jest wykonawcza i bynajmniej nie obejmuje całości sprawy. Ten kto o tem zapomina musi stracić grunt pod nogami i zawikłać się w sprzecznościach, które dr. Birzowski z taką przenikliwością podkreśla u cytowanych przez siebie projektodawców niemieckich.

Kasy Chorych niemieckie, słusznie podkreśla dr. Birzowski, są produktem przemyśleń ks. Bismarcka. Ukazały się jako interwencja państwa w sprawy zdrowia ze względu na potrzeby zdrowego rekruta. To było pierwsze rozstrzygnięcie społecznego zagadnienia i dla tego stało się wzorem.

Przemysł w Niemczech w owej epoce rozrastał się. Robotnik zatrudniony był jedynym przedstawicielem proletarjatu, stanowił czwarty stan, wydziedziczonych, potrzebujących opieki.

Od tego czasu sytuacja się gruntownie zmieniła. Kryzys nauczył nas, że poza robotnikiem fabrycznym

jest jeszcze chałupnik, jest wieśniak-rolnik — jest jeszcze cały szereg innych ludzi, których ubezpieczenie nie obejmuje. Kasa Chorych nie posiada cech powszechności.

Ks. Bismarck ponadto nie znał samej techniki ubezpieczeń, która w owym czasie była słabo rozwinięta. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ubezpieczenie jest przedewszystkiem instytucją gospodarczą, administrującą ogromnemi funduszami, administrującą tem doskonalej, z im większemi liczbami ma do czynienia, gdyż tylko masowość zapewnić może słuszność kalkulacji i jej taniość. To wszystko znika z oczu wszystkim prawie pp. lekarzom, zabierającym głos w tej sprawie. To prowadzi do wciąż powtarzającego się tragicznego pytania masowości — czy indywidualizacji, kiedy w gruncie rzeczy to nie są bynajmniej alternatywy. Masowość w ubezpieczeniu — indywidualizacja w leczeniu.

Jeżeli porzucimy grunt niemiecki, jeżeli staniemy na gruncie rozważań samodzielnych, sprawa wyjaśni się dla nas odrazu. Zagadnienie ubezpieczeń społecznych mysi być oparte na tych samych zasadach, co i ubezpieczenia prywatne. Musi być studjowane na wzorach już istniejących, na wzorach, pojętych jako przedsiębiorstwa dochodowe — zupełnie tak samo, jak fabryka państwowa musi być oparta o te doświadczenia, jakie zostały w danej dziedzinie produkcji porobione przez przedsiębiorców prywatnych. Dodać jedynie do tego należy czynnik powszechności i przymusu. I znowu nie jesteśmy tu bez precedensów, gdyż istnieją powszechne, obowiązkowe ubezpieczenia, dajmy na to ogniowe.

Lekarze nie mogą być organizatorami tych ubezpieczeń — to sprawa ekonomistów, finansistów. Lekarze są dostawcami tych instytucyj. Do nich należy leczenie. Jak je zorganizować? Oto pytanie.

I właśnie pod tym kątem widzenia temat powinien być rozpatrzony i poddany dyskusji. Wtedy nie wywoływałby on tyle żalów i nie powodował tyle tarć — a ubezpieczenie społeczne — stałoby się naprawdę społecznem.

NĘDZA.

Kilka cyfr, otrzymanych jako wynik ankiety pośród bezrobotnych otwiera nam obraz prawdziwej nędzy. Pośród jej uczestników spożycie chleba wynosi ok. 8,23 kg. miesięcznie na osobę, mleka 2 litry, mięsa 60 gr., tłuszczów 52 gr. — a nawet kartofli niespełna 13 kg. Takie odżywianie się prowadzi oczywiście prostą drogą do zwyrodnienia. Dalej ankieta wykazuje, że na 100 osób badanych przypada 41 mebli do sypiania, minimalną ilość ciepłej odzieży. Dowiadujemy się, że w niektórych izbach na osobę jest mniej niż 2 metry kwadratowe powierzchni. To są fakty stwierdzone, zaświadczone. Czy wyjątkowe?

Otóż właśnie na to kardynalne pytanie nie możemy znaleźć odpowiedzi w książce, o której mowa *). Nie możemy, gdyż zakres przedsięwziętych badań był za szczupły, obejmował tylko 110 rodzin, z których wszakże pewna ilość jeszcze odpadła. Osiemdziesiąt kilka rodzin w miljonowem mieście, w którem ponad cztery tysiące rodzin pozostaje bez dachu nad głową — to zbyt nikły ułamek, by można było mówić na tej podstawie o istotnym obrazie sytuacji.

Prawda, autorowie korzystają jeszcze z innych źródeł, posługują się pamiętnikami bezrobotnych, zebranemi przez Instytut Spraw Społecznych, statystyką żywienia dzieci szkolnych, spostrzeżeniami własnych korespondentów, rozproszonych po całym kraju. Ale to bynajmniej nie tworzy pełnego, ani nawet ułamkowego obrazu rzeczywistości, albowiem dane te zaczerpnięte są z różnych miejsc z różnych miast, zbierane przez różnych ludzi.

Życie bezrobotnych — to temat niezmiernie obszerny i domagający się bardzo zasadniczego opracowania. A opracowanie to jest tem trudniejsze, że jak dotąd brak nam dostatecznie gruntownych studjów nawet nad życiem ludności pracującej fizycznie, nad poziomem jej normalnego życia. Ankiety mieszkaniowe, kiedykolwiek bywały przeprowadzane, dawały wyniki wprost katastrofalne. Mieszkania w suterenach, mieszkanie pod suterenami, mieszkanie w jakichś kojcach, starych drewutniach wcale nie należały do wyjątków. W barakach blaszanych i mało od nich różniących się drewnianych, mieszkali wszak w swoim czasie w znacznej większości nie bezrobotni. Mieszkali tak właśnie pracujący. To był głód mieszkaniowy? Ale ten głód mieszkaniowy trwa dotąd w całej pełni. Czy ta ciasnota zatem wynika li tylko z bezrobocia?

I znów na pytanie to odpowiedzi brak.

A jeżeli nie znajdujemy wyjaśnienia tak pierwiastkowych zagadnień — to cóż mówić o innych, jakie nasuną się nam przy czytaniu bodaj spisu rozdziałów interesującej broszurki, które zapowiadają nam omówienie nietylko budżetu, wyniszczenia rodzin bezrobotnych, ale nawet przeobrażeń w ich psychice. Tu już znajdujemy tylko supozycje i supozycje, do potwierdzenia których musimy szukać danych poza książką.

Niewątpliwie broszurka daje pewną ilość materjału ciekawego — całość jej przecie wynikła ze złudzenia, że przy dzisiejszej ilości danych zgromadzonych można o życiu bezrobotnych pisać, jako o zjawisku ogólno - państwowem. Doświadczenia poczynione przez ludzi nie tylko teoretycznie stykających się z zagadnieniem, wykazują, że skutki jego inaczej się objawiają na Pradze, a inaczej na Ochocie i jeszcze inne są na Woli. To w samej Warszawie. A nie radzilibyśmy nikomu porównywać stosunków warszawskich z siedleckiemi, albo pomorskiemi. Tam życie układa się zupełnie inaczej. Po ustaleniu całego kompleksu tych różnic właśnie można będzie dopiero rozpocząć uogólnianie, które doprowadza nas dopiero do poważniejszych wniosków.

I dlatego wolelibyśmy, aby prace tego rodzaju ograniczały się zarówno pod względem terytorjalnym, jak i tematowym. Radzilibyśmy również autorom biorącym się do tego rodzaju tematów przed zużytkowaniem danych ankietowych, pomimo wszystkie zapewnienia conajmniej śliskich, dokładnie opracować istniejące statystyki i przeprowadzić analizę tego, co z nich może być wykorzystane do zagadnienia bezrobocia i położenia bezrobotnych.

*) *Halina Krahelska* i *Stefan Pruss:* Życie bezrobotnych, badania ankietowe. Warszawa 1933. Instytut Spraw Społecznych str. 10 + 110.

SPRAWY OPIEKI

OPIEKA SPOŁECZNA W STOLICY.

Naczelnik wydziału opieki i zdrowia, p. dr. Wroczyński wygłosił wobec przedstawicieli prasy coś w rodzaju planu prac samorządu w tej dziedzinie. Dążeniem p. Wroczyńskiego jest przeniesienie punktu ciężkości z opieki zamkniętej na otwartą. Zupełnie słusznie podnosił p. Naczelnik, że uwagę całą należy zwrócić na usprawnienie funkcjonowania tej pierwszej komórki życia społecznego, jaką jest rodzina.

Ograniczyć natomiast należy opiekę zamkniętą, która pochłaniała dotąd bardzo poważne środki i przychodziła z pomocą tam, gdzie ta pomoc właściwie jest zbędna. Ze szczególnym krytycyzmem odniósł się dr. Wroczyński do organizacji opieki nad starcami i zapowiedział zwinięcie szeregu tego rodzaju zakładów

Myśli te muszą się spotkać z ogólną aprobatą. Nie sposób przecież nie wyrazić pewnej obawy. Oto opieka zamknięta jest o wiele łatwiejsza niż otwarta. O ile zakłady magistrackie naogół nie były złe — to stacje opieki miejskiej... Zresztą p. dr. Wroczyński sam najlepiej wie, co o nich sądzić. Otóż powstaje zasadnicza sprawa, czy p. dr. Wroczyński rozporządza personelem dostatecznie wyszkolonym do prowadzenia zaprojektowanej akcji?

WALKA Z ŻEBRACTWEM.

Od 1-go b. m. rozpoczęły działalność sądy żebracze i dom pracy przymusowej. Walka z żebractwem na terenie stolicy podjęta zostanie, jak zapewnia się, z całą energją. Czy skuteczna — zobaczymy. Przypuszczamy, że rozpocznie się ona od wykorzenienia eksploatowania dzieci dla celów żebraczych, poczem uderzy w zawodowców, posiadających nieraz wcale pokaźne mająteczki. Żebracy będą umieszczani w domu pracy przymusowej, gdzie utrzymanie ich ma kosztować sporo, bo około 2,60 dziennie.

To też nie mało ważne jest pytanie, w jaki sposób zbliżyć do samowystarczalności te domy? Naszem zdaniem osiągnąćby się to dało jedynie w fermach wiejskich,

PORADNIA MATEK NIEŚLUBNYCH.

„Epoka" podnosi ważne zagadnienie poradni dla matek nieślubnych. W odpowiedzi na rzuconą myśl odezwała się jedna z tych matek, aprobując ją w całości i powołując się na doniosłość pracy w tym rodzaju przeprowadzonej w swoim czasie w zakładzie ks. Boduena przez jedną z działaczek społecznych. Matka nieślubna istotnie znajduje się w położeniu bardzo ciężkiem i sprawa dania jej należytej opieki — to bodaj że najważniejsza broń przeciwko zbrodniom dzieciobójstwa, podrzucania i t. d.—

Powstaje jednak pytanie, czy tylko nieślubna matka potrzebuje opieki? Bo niemniej od niej nieraz pokrzywdzona jest matka — ślubna, ale zwyczajnie opuszczona przez męża, ojca dziecka. Otóż poradnia tego rodzaju potrzebna jest wogóle dla matki opuszczonej. Wyodrębnianie matek nieślubnych umacniałoby tylko ich izolację w społeczeństwie.

W tej chwili w Warszawie istnieje poradnia tego rodzaju — i więcej niż poradnia, bo zorganizowana opieka nad Dzieckiem i Matką w odpowiedniej sekcji Obywatelskiego Komitetu Opieki Społecznej.

CZY MOŻNA URATOWAĆ?

Wysoce utalentowany publicysta „Kurjera Porannego" p. lo w rubryce „Z sądów" podał nam przebieg rozprawy przeciw niejakiemu Starczewskiemu, mordercy Bieniówny. Dziewczyna została pozbawiona życia za to, że nie chciała ulegać natarczywemu „wielbicielowi". Wyrok — 10 lat więzienia.

A oto refleksje:

„Staliśmy z kolegą adwokatem i sprawozdawcą i, słuchając wyroku, myśleliśmy o jednem: czy rzeczywiście niema sposobu uchronić kobiety od grożącej jej katastrofy, kiedy nikczemny degenerat, jak najokropniejsza groźba, stanie ze swą podłą żądzą na jej drodze?"

„Bieniówna, matka, jej narzeczony czuli nadchodzące nieszczęście. — Zwracali się do policji: „Starczewski grozi Irenie, że ją zabije, gwałtem domaga się wzajemności; ratujcie."

Policja odpowiada: nie możemy ratować, nic się jeszcze nie stało; przecie nikt jeszcze Ireny nie zgwałcił, nie zabił. Cóż my możemy zrobić? Istnieje artykuł 250 kodeksu: „kto grozi innej osobie popełnieniem gwałtu lub występku na jej szkodę, lub na szkodę bliskich, jeśli zachodzi prawdopodobieństwo spełnienia zapowiedzi...", ale on pewno tak tylko mówi, żartuje...

„Może to i słuszne; ale zdaje się, że trzebaby w każdym wypadku dać chętne ucho takim skargom — i zbadać. Może, gdyby dobrze zbadano, na kogo skarży się Irena i jej matka, i co za ptaszek jest Starczewski — możeby dziś Irena żyła. A może zabiłby ją po odsiedzeniu kary za swoje straszne groźby i zmuszania."

„Nie wiadomo; ale trzeba koniecznie, aby metoda zapobiegania zbrodni lub przestępstwu wydoskonaliła się, przestała być rzeczą przypadku.

„To poważna troska strwożonego sumienia ludzkiego."

Tych kilka uwag odsłaniają sprawę niezmiernie ważną. Zbrodnia z pobudek erotycznych bynajmniej nie jest rzadkością w tej „drugiej Warszawie" i prawie zawsze poprzedza ją groźba. I p. lo ma rację: nie odwołać się do policji — znaczy zdać wszystko na los wypadków i rozzuchwalić przyszłego zbrodniarza. Odwołać się — narazić jego ofiarę na zemstę.

Otóż, naszem zdaniem, w kodeksie karnym jest pod tym względem luka. Groźba, o której mówi art. 250 k. karn., powinna być karana nietylko więzieniem, ale przedewszystkiem powodować wysiedlenie z danej miejscowości, wysiedlenie na dalszą odległość, z pozostawaniem pod nadzorem policji

Ale to jeszcze nie wystarcza. Policja w tej działalności profilaktycznej winna się oprzeć o społeczne organy opiekuńcze. Ocenić sytuację taką, jaką mieliśmy w wypadku Bieniówny, trudno. Trzeba mieć doświadczenia nie wywiadowcze, ale opiekuńcze,

Ustawodawstwo, jeżeli naprawdę ma mieć cele profilaktyczne na oku, to jest naprawdę dążyć do zapewnienia bezpieczeństwa życia i mienia ludzkiego, winno zwrócić na tę sprawę bardzo pilną uwagę.

Redaktor i Wydawca: *Adam Uziembło.* Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.